









W. Łazarewiczówna  
San. Mirski

Aut.

# KARMAZYN.

E. MIRSKA  
Zakł. Fotograficzny  
POZNAŃ.



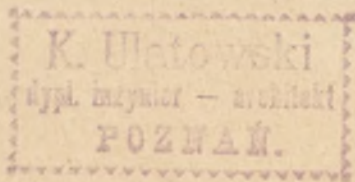
# KARMAZYN.



## STUDYUM Z NATURY

PRZEZ

FEODORA JESKE-CHOIŃSKIEGO.



W POZNANIU.

NAKŁADEM AUTORA. CZCIONKAMI T. H. DASZKIEWICZA.

1877.



A19914

115476



## PROLOG.

---

Lilie białe kołyszą się już dawno na mogile pierwszej nauczycielki mojej, na której kolanach siedząc, powieści o zaczarowanych księżniczках słuchałem; nieśmiertelniczki wieńczą już od lat wielu mały, zapomniany grób tej zawodem w miłości złamanej dziewczyny, a dotąd dzwonią mi jeszcze jej słowa w uszach: — Bądź naturalnym! a dzwonią głośniej, ilekroć do biórka siądę, aby ludzi opisywać. Kiedym grymasił, lub o coś niepotrzebnego się napiérał, pytała mnie zawsze: — Czy chcesz widzieć małą? — Pokaż! wołałem z gniewem. Brała zwierciadło i stawiając mnie przed niem, mówiła: — Spójrz w szkło, a przekonaj się, żeś brzydszy od mały. W kilka dni przed jej śmiercią płynęliśmy łódką po jeziora uspokojonej szybie. Ona z głową na ręku wspartą, z okiem błędzącem po nieba kopule srebrzystej — ja dzieciuch na łonie jej śniący. Podniosła rękę w niebo i rzekła:

— Patrz, jaka piękna przyroda! Bądź naturalnym zawsze, bo natura prawdą, a wszystko, co sztuczne, fałszem.....

Jeśli powieść jest zwierciadłem, jak tego chce Stendhal, to proszę przed zwierciadło moje wszystkich ciekawych. Ujrzą tam rozmaite zwierzęta.....

---



Powieść zaczyna się w jesieni 1861. roku.

Na dworcu kolei wschodniej w Berlinie cicho było jeszcze; — zwyczajnie w godzinę przed odejściem ostatniego pociągu.

Służba kolejowa przez pomost biegła, to lampy zapalając, te niepotrzebne gasząc; gapiów nie było dziś na dworcu, ani gawronów, bo wieczór jesienny, mglisty, ponury nie zapraszał do przechadzki.

Jednokonna doróżka zaturkotała przed dworcem.

Młodzieniec z niej wysiadł, kufeczek podróżny sam wziął i poszedł do sali drugiej klasy. Tu w najodleglejszym usiadł kąciku przed oknem, szynel podróżny na poręczy krzesła złożył, kapelusz na stole, głowę wsparł na dłoni i okiem po za szyby wybiegł na świat, na który noc jesienna ciemny płaszcz zarzuciła.

Był młody jeszcze, wzrostu średniego, harmonijnie zbudowany. Wszystkie części ciała szczupłego dopełniały się wdzięcznie, całość składając jednolitą, jak obraz jednem zrodzony natchnieniem, jak rzeźba, ręką jedną wykuta. Czoło wyniosłe, rysy twarzy wybitne, drobna, pieszczona ręka i postawa niedbała, a jednak wdzięczna, choć nie rozmyślnie ułożona, zdradzały w młodzieńcu syna rodu, który przez długie wieki bezczynności i wygod, aż nazbyt miał czasu do pieszczona ręki i nogi, odwykłych od twardej pracy i cierpienia drogi. Wyraz twarzy rzewny, a naturalny, nie nakreślony tam ręką niedoli, ale wzięty widocznie spadkiem po matce — niewolnicy, za ojczyznę płaczącej, — oko tęskne, ilekroć bezwiednie błysnęło żywioł, i dobroć, jakby serca

ciepło, rozlana pozłotą na reszcie rysów, zdradziły dalej w młodzieńcu Słowianina, a dalej jeszcze Polaka.

Był to Artur, hrabia Uchański.

Na tém tle, niewidném prawie pod mnóstwem barw innych, które życie nałożyło, na tém płótnie przysposobioném przez matkę-przyrodę do dalszego obrazu, spoczęła ręka wielkiej mistrzyni — szkoły świata — i położyła tam znaki swoje, odsłaniające baczemu spostrzegaczowi motywa, które takie rzuciły cienie, a nie inne. Twarz człowieka jest zawsze księgą tajemniczą, nie dla każdego jednak; kto czytać w nią umie — poemat widzi częstokroć, albo satyrę, dramat i t. d.

Był młody jeszcze Artur, bo zaledwie lat 23 liczył, a już włos, niegdyś jasny, wichur życia przerzedził; oko błękitne, głęboko osadzone, patrzyło tęskno czasami, to znów obojętnie, jak sceptyka oko, który niczemu dziwić się nie umie. Na ustach zamkniętych szczelnie, zdobnych wąsikiem, zastygł uśmiech niewymownie smutny, tak smutny, jak sfinks uśmiech, dumającego nad światem zagadką. Ten uśmiech godził spozregacza z obojętnym wyrazem oczu, bo opowiadał dzieje serca, przeszłość człowieka, któremu — życie dokuzyć musiało, skoro się tak smutnie uśmiechał.

Wiele myśleć, kochać i boleć musiał człowiek, zanim się nauczył tak smutnie uśmiechać! Gdzież młodości marzenia, wszystkie te postaci skrzydlate, senne, wonne — kiedy poszły? — gdzie życia cel wymarzony, duszy polot orli... gdzie to wszystko? — pytał uśmiech...

Ojciec Artura majątek miał wielki jeszcze, więc syna wychował po pańsku. Artur lubił od dziecka naukę, książkę, rychło też ukończył chlubnie szkoły, bo w siedmnastym już życia swego roku, potem przez lat trzy po dalekim włóczył się świecie, pyramidy zwiedzając i Morze Bałtyckie, na Atlantyku płynąc, i po Oceanie Spokojnym. Był wszędzie, pragnąc widzieć wszystko, wszystkiego się dotknąć, bo w świat z nim poszła wiedzy chciwa młodość, szczęścia pragnące serce.

W końcu trzeciego roku wrócił wezwany do domu i tu



ojca zastał na łożu śmiertelném, bankruta, a nad nim żydów, targujących się o łachmany wiekowych włóści Uchańskich.

Ocknął się młodzieniec.

Dwie drogi ujrzał przed sobą, z których jedna prowadziła do żebractwa, druga do pracy. Poszedł drugą. Zebrał grosza nie wiele ze sprzedaży sprzętów i w Berlinie kształcił się na lekarza, który zawód pociągał młodzieńca, pragnącego teraz ofiary z życia. Pracował w Berlinie, a pracował usilnie, nad książką zapominając niedoli rodzinnej, po której został mu jednak ów uśmiech dziwnie, niewymownie smutny.

Teraz Artur ....

Ale teraz zaczyna się powieść.

Wsparty na dłoni siedział przed stolikiem, nieruchomém okiem zatopiony w szyby kryształowe.

Tam na dworze jesień smutna szeptała drzewom, które wiankiem otaczają miejsce przed dworcem, pieśń zniszczenia, a listki słysząc ją, ruszały się biędne; wiatr wieczorny świstał, w szyby dzwoniąc, gniębny, że mu budynki piętrowe pohulać nie pozwalały po własnej myśli.

Artur patrzył i słuchał.

Zajęła go wieczoru pieśń jesiennego, bo siedział nieruchomy, nie zważając, że sala coraz więcej się zapełniała, że gości coraz więcej napływało; gwar już zmieniać się zaczął w brzęk roju pszczelnego.

Artur patrzył i słuchał.

Nagle zwrócił się. Z kieszeni wy dobył list jakiś pomięty i czytać zaczął.

— Skrzętski? Skrzętski? — szepnął. — Podobne miano nosił dzierżawca mego ojca, a nawet i pismo to już gdzieś widziałem.

Spojrzał na list, karty jego przewracał bezmyślnie.

— Tak, widziałem to pismo, ale gdzie, ale kiedy? — nie pomnę. Biała? I wsi nazwisko mi znane, a jednak. Białych może być wiele. Zresztą niech będzie, jak los da; — choćby nawet kazał służyć dzierżawcy mego ojca, choćby do wsi rodzinnej mnie posłał, do domu, w którym kołyska moja stała, abym służył sługom ojców moich.

Niech będzie, jak chce... Ciężko to, ciężko, ale konieczna! Nie ma innej rady.

I podniósł się, wyprostował, na salę spojrzął, w której mnóstwo podróżnych się wiło, wzrok utopił w tém mrowisku, a nic nie widział, bo oko jego zewnętrzne tonęło w duszy, w piersi własnej... czyli są siły, potrzebne do walki z losem, czyli ciepło jest, wytrwałość i życie?... badając.

Były — bo uśmiechnął się Artur swobodnie a dumnie, pierś podniosła się ciężko, jak zbroja, a z czoła błysnęła myśl jasna, świadcząca, że to czoło myślało już znojnje.

— A!.. hrabia? — rzekł ktoś z boku.

Artur obejrzał się:

— Hrabia w podróż się wybiera? — pytał dalej młodzieniec wiekiem równy, choć postawą odmienny.

— W podróż, panie, — odparł Artur, siadając na krześle.

— Hrabia pozwoli obok siebie usiąść?

— Proszę. Wszakże to miejsce publiczne; krzesło każdemu służy.

— Hm... mruknął przybyły, przygryzając usta.

Był to młodzieniec nie starszy od Artura, ubrany wykwiśnie, zbyt nawet bogato, ozdobiony mnóstwem błyskotek. Wysoki był, o ruchach niezgrabnych, przymuszanych, które tym więcej raziły, im wyszukańsze być miały. Twarz miał szeroką, a na niej szczeróść Słowianina, na ustach uśmiech ironiczny, w oczach błękitnych dumę wielką, na czole myśl. Nie była to twarz arystokratyczną ręką wieków dłutowana, zwyczajna tylko; byłaby jednak miłą, ładną może, gdyby nie wyraz nieograniczonej dumy, który z ócz patrzył i postanowienie jakieś niezłomne, a zimne, zamykające szerokie usta. Brakło rysom tej twarzy poźoty, którą tylko serca ciepło daje, nie było w piersiach szerokich krwi żywo płynącej, czy ofiarą za ludzkości bole, czy własnego choćby serca pragnieniem szlachetniejszym? Pan Władysław Raczmarkowski myśleć umiał, — o tém czoło mówi szerokie; co postanowił, wykonywał, — to poświadczały brwi zmarszczone i zamknięte szczelnie usta, ale kochać nie mógł, miłości nie rozumiał żadnej.

Usiadł — okiem mrowisko podrózných objął, stołki wszystkie wprawném przebiegając wzrokiem, potem ręką sięgnął do skroni, aby uchylić pukle jasnych włosów, które rozsunęły się w nieładzie. Ręka, we włos zanurzona, błysnęła pierścieniami, a choć biała była, starannie utrzymywana, wielkość jęj zbytnia raziła przy kształtnęj Artura dłoni.

— Hrabia wyjeżdża? zaczął Kaczmarkowski.

— Wyjeżdżam — odparł Artur.

Kaczmarkowski powtórnie na salę spojrzął; — myślał coś, myślał; Artur, twarzą do okna zwrócony, poświstywał arą jakąś, pochwyconą w którymś z berlińskich teatrów.

— Dokąd? Jeśli wolno wiedziéć! Hrabia zwykle był jednym z najpracowitszych akademików, rozumiesz więc łatwo zdziwienie moje i ciekawość. Przecież teraz początek kursów! — mówił Kaczmarkowski.

— Owszem, mogę zaspokoić pańską ciekawość, choć mi się zdaje zbyteczną — rzekł Artur.

— Przepraszam.

— Proszę. Pytasz pan, dokąd wyjeżdżam? W służbę, panie, uczyć dziéci jednego z naszych pocziwych gospodarzy, a co lepsze, że ten nowy pryncypał prawdopodobnie był dzierzawcą niebożczyka ojca mego.

— Hrabio! — zawołał Kaczmarkowski.

— I cóż?

— Chyba żartujesz ze mnie.

— Prawdę mówię, panie.

— To już nie rozumiém, jakaś pewno fantazyja pańska!

— Wcale nie, panie, bo rzecz to prosta, jasna. Egzamina krajowe nadchodzą, a ja pieniędzy już nie mam; nie starczyły mi graty sprzedane po ojcu i źle się obliczyłem; trzeba wyjść na pół roku między ludzi, — zapracować sobie.

Artur mówił to wszystko tonem lekkim, swobodnym na pozór, a jednak głos jego drżał nieznacznie, cichucho, jak struny pianina po opadnięciu klawisza — drżał smutnie.

— A... jeszcze więcej nierozumiém — rzekł Kaczmarkowski

— To już trudno, mówiłem przecież po polsku.



— Więc rzeczywiście prawda?

— Prawda, panie.

— Mnie mówiono, że hrabia bogatym jesteś, że masz ciotkę milionową, której jedynym jesteś dziedzicem.

— Prawda i to, — rzekł Artur — i podobno nawet ciotka wykupiła z rąk żydowskich majątek ojca, ale ta ciotka złorzeczyła rodzicowi mojemu na łożu śmiertelném, kiedy żydzi jak kruki zbiegli się, aby zabrać trupowi łachmany; więc ja, panie Kaczmarkowski, zbyt dumny jestem, abym brał jałmużnę od kobiety, siostry — potwora, która nawet w śmierci uszanować nie umiała nieszczęśliwego brata swego.

— Szlachcic! mruknął Kaczmarkowski.

— Choćby i tak było; — odparł Artur — mnie się zdaje jednak, że do tego potrzeba szlachcica duchem, a nie rodem.

— Przesady hrabio, i głupstwa! Trzeba korzystać wszędzie i zawsze, ze wszystkich i wszystkiego.

— Wolno zostać panu przy swoim, a i mnie wolno.

— Oczywiście.

— A więc nie ma co mówić, panie.

— Żal mi hrabiego.

— Niepotrzebny, bo go nie pragnę.

— Arystokrata! szepnął Kaczmarkowski.

Milczeli chwil kilka. Artur bębnił palcami po stole. Kaczmarkowski patrzył przed siebie, przygryzając wąż płowy.

— Panie hrabio! — rzekł ostatni.

— Służę panu.

— Zrobiłbym panu propozycją — rzekł Kaczmarkowski, a głośno mówił, oglądając się, czy kto nie słyszy. Usta szerokie skrzywił uśmiech zjadliwy, który błyskawicą mignął i znikł. — Nie wiele pewno potrzebować możesz do egzaminów. Jeżeli przyjmiesz — pożyczę ci pieniędzy trochę, więcej — ile zapragniesz.

— Dziękuję — odparł Artur cicho.

— Więc wolisz hrabio służyć?

— Wolę, — niż brać pieniądze od pana, którego wzrok i uśmiech, choć błyskawicą znikł, powiedział mi, że



pragnąłbyś mojego poniżenia, upokorzenia. Wiédz, że hrabia Uchański mimo ubóztwa chwilowego, dumny jest, a przytém oko ma dobre.

— To widzę, — rzekł Kaczmarkowski — uśmiechając się ironicznie — to głupstwo widzę, ale i to widzę, że taka duma niegodną jest, dziecinną nawet.

— Wolno ci mówić. Zresztą chcę wszystko być winien sobie tylko — nie takim, jak ty, pomocnikom.

W sali dworca tymczasem niecierpliwi podróżni ruszać się zaczęli, zbierać graty, graciki swoje, bo na pomoście już lokomotywa sapała, poświstując przeraźliwie.

Artur siedział na krześle, ręką pieszcząc szkło w złoto oprawne i patrzył w ziemię, przed siebie — bledszy, niż zwykle.

Kaczmarkowski spojrział na małą rękę hrabiego, skrzywił się..

Pozazdrościł synowi starego rodu tój drobiazgowój oznaki.

— Widzę na palcu hrabiego — rzekł Kaczmarkowski — pierścień brylantowy, którego sprzedaż mogłaby wystarczyć na ukończenie studyów. Może pamiątka jaka?

— Tak, pamiątka — odparł Artur sucho.

— Wolałbym ją sprzedać, wolałbym się pozbyć niepotrzebnego sprzętu, niż służyć jakiemuś tam grykosiejowi.

— A ja wolałbym żydom w piecach wymiatać i palić, niż oddać obrączkę ślubną mojej matki, którą dziecku włożyła na palec.

— Głupstwo, wielkie głupstwo!

— Być może, ale jestem już tak dziwnie głupi na wszystko, co panowie nazywacie praktyczném, realném życiem; nie mam zmysłu do tego. Panowie sialibyście jęczmień na mogile matki, aby lepiej rósł na umierzwionej ziemi — ja, przyznam się, nie.

— Wsiadać! wsiadać! — zawołał w tój chwili portier kolejowy, przechodząc salę z dzwonkiem w rękę.

Już pociąg uszedł daleko; zdala świeciły dwie lampy, jak potworu ślepie, z którego paszczy snuły się węzłem dymu kłęby, a Kaczmarkowski stał jeszcze na pomoście pleca-

mi wsparty o filar kolumnady i chciwie, namiętnie za żelaznym patrzył koniem.

— Pojechał... mruknął — dumny panicz, jaśnie wielmożny karmazyn w służbę pojechał.

A jednak imponuje mi ten człowiek silny, nienamiętny — arystokrata o dumnym czole, z uśmiechem smutnym na ustach. Któż prawdziwszy? On, czy ja?

Przyszłość okaże.

Splunął, kapelusz na oczy nacisnął i krokiem wolnym do miasta wrócił.

Tuż nad granicą Królestwa i Prus Zachodnich, wioska nad brzegiem siadła jeziora, nie widna prawie z za klombów lip i topoli. Tłem krajobrazu dalekie polskie łąny, gdzieś na widnokregu ginące w lasów ciemnej wstędze, przecięte smugami łąk zielonych; — zwyczajnie wieś polska. Gór tu nie ma niebotycznych, wodospadów szumiących, ani gajów cytrynowych — pola tylko, łąk mnóstwo, czasem jeziórko gdzie w dole, lasek sosnowy wśród piasów. Wieś, którą „Białą“ nazwano, rozłożyła się szeroko nad brzegiem jeziora, zasłonięta od południa lasem sosnowym. Chat się mnóstwo przyczepiło do czarnej gleby, raczej zapadło w nią — tak małe, dziurawe były wszystkie; dachy słomiane spuszczały się na okienka, zabierając mieszkańcom już i tak szczupłe bardzo wpadające światło dzienne; glina, którą ściany obrzucano, odpadywała wszędzie; w czasie mrozów było w tych chatach smutno, duszno latem. Stały one, jak sieroty porzucone nad wodą, odsłonięte na wiatru igrzyska, który w jesieni i zimą po falach szybował jeziora, aby się z wściekłością oprzeć na strzechach wieśniaków — stały samotne bez chlówka, płotka nawet; kilka jabłoni i porośłych dziko

wisien zasłoniło ich nędzę przed podróżnym, idącym mimo. Wśród chat wieśniaków na wzgórku kościółek staował modrzewiowy, jedyny opiekun ubóstwa, mówiący pociechy słowa rano, w południe i w wieczór głosem srebrnego dzwonka.

Jedna droga przemyka się między chat rzędami, aż za wieś o strzał armatni, gdzie z drugiej strony jeziora zdala już białą ściany zabudowań folwarcznych.

Tu inaczej, jak na wsi.

Droga topolami wysadzona na dziedziniec prowadzi wielki, na którym w porządku pługi stoją, brony i radła, dalej wozy i powózki; budynki tu wszystkie nowe i z czerwonej cegły, a mocne, jak gdyby na wieczność obliczone. Widać wszędzie rękę gospodarza, dbałego o wygodę — plonów swoich i bydła...

Tylko dwór dziwnie wygląda wśród pysznych stodół i obór. Zajął jedną stronę kwadratu, utworzonego przez budynki, od dziedzińca wysokim odgrodzony parkanem, — jakby się lękał spotkania z gminem. Nie wielki to kamienny pałac, choć go wieśniacy tém mianem zaszczycają, ale dom długi, niski, z dachem szkudlanym, dwoma kominami zdobnym, z wystawką na słupach drewnianych, nad którą dwie lipy w naturalną się splotły altankę. Dom mały na pozór, a obszerny, szczupły, a przestronny jednak, ilekroć zdarzy się gościa pomieścić, lub zbłąkanego przyjąć podróżnika. Chwilę jeszcze, a z książek tylko znać będą wnuki, co po nas przyjdą, domy ojców swoich, którzy wesoło żyli, — swobodniej — i szczęśliwiej pewno, niż synowie w murowanych pałacach.

I we dworze bieleckim swego czasu gwarно było, hałaśnie.

Dziś dwór pusty stoi, okna zasłonięte kobiercami, drzwi na wrzeczadkach zardzewiałe, bo od lat trzech drzwi tych nikt nie odmykał. Po śmierci hrabiego Uchańskiego, do którego wieś ta z innemi należała, wykupiła siostra niebożczyka majątek rodziny z rąk żydowskich, osadzając tu pana Skrzętskiego, dawnego dzierzawcę Uchańskich, któremu powierzyła zarząd nad kluczem bieleckim. Sama hrabina mieszkała w drugim majątku, w Galicyi.



Pan Skrzętski wybudował sobie obok pałacu dworek własny, gdzie z żoną osiadł i z dwojgiem dzieci, gospodarząc obojętnie i uczciwie.

Był wieczór jesienny.

Dziś niedziela, a na wsi niedziela odpoczynku dniem, zabawy czasem, nudów najczęściej.

Już od rana chodził pan rządcza po dziedzińcu, wymyślając na fornali, dla odmiany płasom się przypatrując rozigranych żróbców. Tu słomę widział zbyt rozrzutnie podeślaną, tam radła i pługie nie w przepisany stały porządku, gdzieś indziej znów za mało koniom w koryta nasypano. Ludzie za wszystko odpowiadali, bo dziś niedziela była, a pan rządcza w niedzielę i w każdy dzień świąteczny krzywił się, nie wiedząc, jak i czém dobrać całą zapęcić.

Pan rządcza mężczyzną był wysokim, atletycznych rozmiarów w plecach, postawy prostej, wojskowej. Ruchy jego pewne zdradzały człowieka, nawykłego do rozkazów; głos donośny, a w potrzebie i piorunny, dowodził, że te rozkazy padać musiały na grube błony niechętnych uszu. Tak też było! Pan rządcza od dziecka wśród ludzi żył, gospodarzył, orając i włócząc, a wszystko z chłopstwem, — a chłop to cham zawsze, choćby go i miodem smarowano; — tak sądził pan rządcza. Bywały inne czasy, inne, — mawiał — kiedy szlachcic batem smagał — ba — a teraz psiawiera chamisko do sądów biegnie. Fe — i świsnął szpicrutem pan rządcza i skrzywił się, jakby uczuł na szyji za tużurkiem pająka. To „olim,“ te inne, minione czasy stawały przed pamięcią pana rządczy, ubrane w tęzowe sukienki przeszłości, ilekroć zmuszony był spuszczać bat już podniesiony, spotkawszy się z wyzywającym wieśniaka wzrokiem. „Świat się przewraca“ — mawiał i wąsa przygryzał, który, polskim zwyczajem, jak dwa wiechcie zwieszał się po obu stronach potężnego nosa. A jednak był demokratą pan rządcza i karmazynów nienawidził, przed którymi czapki uchylał, pięści ściskając. Nie mu nie zrobili panowie, ale panami byli, a on zaciętym demokratą.



Nie wiedział pan rządzca, że pana spotkać można i między złodziejami, między ostatnią hołotą; nie pojmował, że urodzenie jest przypadkowe, kapryśnego losu skutkiem, który daje i odbiera, jak mu się właśnie uwidzi. Kogo jaśnie panem lud mianował, tego nienawidził pan rządzca; a ilekroć hrabiego tytuł wymawiał, usta skrzywił szydersko, „obcy tytuł, obcy gałgan“, pomrukując. Cham zawsze cham — to — bo co innego — i tak demokratą być można; był nim przecie pan rządzca.

Przeszło lat pięćdziesiąt dźwigał już na barkach swoich, ale twarz pana rządzcy do dziś świeżość zachowała młodzieńczą. Troski i niedole snąć nie zorały czoła jego; bo jasne było — myśli nie rozszerzyły mózgowicy, bo niska była i płaska, — życie nie pisało rylcem swoim ostrych znaków na twarzy szerokiej, bo twarz ta i czoło umiały się marszczyć tylko, jeżeli deszcz przeszkodził sprzętowi siana, lub wiatr zboże pozadzierał. — Z ócz szarych patrzyła poczciwość, na ustach igrał czasem uśmiech swobody i szczęścia. Twarz i postać pana rządzcy zwyczajne były, jak u tylu innych, u milionów jemu podobnych Słowian — rólników bez nauki, bez wykształcenia, których potrzeby pan rządzca nigdy nie rozumiał. Wszakże i bez tych głupstw jemu dobrze było, lepiej, pewno lepiej, aniżeli tym wszystkim, którzy młodość, pół życia nad książką przeboleli, aby potém, ani świata używszy, ani młodości, nając się jako kółko do téj wielkiej maszyny, którą ludzie państwem, albo jak tam zechcą nazywają?!...

W obejściu był gburowatym, dla gości tylko przybierał grzeczność odświętną; bywało, że wyszukiwał w obec żony i córki wyrazy rubaszne i ruchy, bo formy salonowe uważał za własność panów. Podobno w szkołach w nizkiej bardzo klasie wąsów się doczekał, więc do pługa wrócił ojcowskiego i orał i siał. Książki nie czytał, prócz kalendarza i gazety. Bo i na cóż książka gospodarzowi? Nie urodził się podobno do dziś pisarz, któryby zająć umiał polskiego gospodarza. Książki nie czytał pan rządzca prócz kalendarza i gazety, a czasem modlitewnika, ale czasem tylko, bo zwykle w niedzielę w zakrystyi którego z sąsiadów spotykał,

więc dobra była sposobność pogawędzić o tém i owém. A gawędzić lubił! Otóż gawędka, czasem preferansik, bywało i odwiedziny u sąsiada, byle nie u pana, składały całe życie duchowe, odświętne pana rządzcy. W dzień powszedni po polach się włóczył, to konno, to pieszo, na folwarki zaglądnając. Był oszczędny, dla ludzi poddanych sobie czasem miękko-dobry, zwykle ordynaryjny, gości lubił, oszukiwać się dawał pierwszemu z brzegu przybłędzie — i otóż cały pan rządzca. Od przeszłości przejął wszystkie wady i cnoty, w przyszłość patrzeć nie umiał, ani chciał; wierzył, co Kościół do wierzenia podaje, a głowy nigdy nie trudził ani myślą, ani kłopotem.

Dziś niedziela była, więc nudził się pan rządzca.

W kościele z rana sąsiadów nie było, w pole trudno pójść, bo i pochmurno; wyjechać nie miał ochoty.

Już po raz dziesiąty przed dworek wychodził, nastawiając ucha, czy nie usłyszy turkotu zbliżającego się wózka?

Gdzież tam! A takby miło dziś pograć preferansika, bo chmurno na bożym świecie i mglisto...

Spojrzał w niebo, ale niebo dziś ciemne, — spojrzał na okół siebie, ale w około mglisto.

— Bartkowiak! — wrzasnął.

Z drugiego końca dziedzińca włókł się leniwo chłop na zawołanie.

— Bartkowiak! — powtórzył pan rządzca.

— Słucham wielmożnego pana — odparł klucznik.

— Jak mówisz? Będzie-li jutro pogoda?

Bartkowiak spojrzał ponad siebie — patrzył chwil kilka — w głowę się skrobął — kiwnął poważnie i rzekł:

— Może pan Jezus da, a może i nie.

— Może i nie — mruknął pan rządzca. Ziemniaki zwiezione już wszystkie?

— Nie jeszcze, wielmożny panie.

— A kiedyż do trzysta djabłów pozwłoczycie, wy ciemięgi?

Klucznik milczał, do nóg pana się schylił, kapelusze obracał w ręku i czekał:

— Możesz odéjść — rzekł pan rządzca.

— Dobranoc — szepnął klucznik.

— Dobranoc — mruknął pan rządzca.

Chwilkę stał jeszcze przed dworkiem, potem zawrócił się i do mieszkania wszedł.

Tu jasno już było; ogień w piecu dudnił, a na stoliku przy oknie samowar wygrywał miluchną piosenkę o spoczynku i cichém szczęściu wśród czterech ścian własnych.

Pokoik, do którego wszedł pan rządzca, był salonem domu; mały, kwadratowy, ciemnozieloną wylepioną obitką, wysłany kobiercem, z oknami, które karmazynowe zasłaniały firanki. Pod ścianą jedną kanapka, przed kanapką stół machoniowy, pod ścianą drugą biórko orzechowe, a nad niemi Kościuszki obraz. Kilka krzeseł, stoliczek do samowaru, nad kanapką polski orzeł na kanwie wyszyty, kończyły umeblowanie saloniku.

Pan rządzca wszedł tu, raczój wbiegł, drzwi zatrzasnął, krzesło do okna przysunął i usiadł. Minut kilka milczał, palcami bębniąc w ramę okna, nogę zakładając na nogę.

— Matko! — rzekł.

Na kanapce siedziała kobieta nie stara jeszcze, brunetka, schylona nad pończochą. Była to żona pana rządcy. Dziwnie łagodny wyraz twarzy bladej korzystnie przedstawiał panią domu.

Wezwana wolno głowę podniosła, czekając w milczeniu rozkazu.

— Może się przesłyszałaś, — rzekł pan rządzca — bo księdza nie widać ani Dutkowskiego.

— Mówili, że przyjdą — odparła żona, schylając głowę nad robótką.

Samowar dzwonił i bębnił, ogień w piecu dudnił, a wieczór jesienny, przypominający się za oknami świstem wiatru przeraźliwym, stukaniem do szyb, uwydatniał więcj jeszcze szczęście tych, którzy w ciepłym siedzieli pokoju.

— Brzydko dziś na dworze — zaczął mąż.

Żona milczała.

— Żle psa wypędzić; prawda?

Żona, nad robótką schylona, zdawała się nie słyszeć.

— Gdzie Wanda? — zawołał głośniej pan rządzca.



— W swoim pokoju — odparła pani.

— Hm... mruknął rządzca — niepodoba mi się ta dziewczyna z jej książkami i fortepianem; furda — przewróci w głowie szlacheńcze, przewróci, i jaśnie pana zapragnie, coby umiał gęsim mówić językiem, a jaśnie pan nie przyjdzie i będzie bięda, bięda. Lepiej nie było posyłać dziewczyny na te pensye do miasta; lepiej było ją przytrzymać na wsi, do gospodarstwa przyuczyć, bo teraz już i późno. Panienka gada czasem niestworzone rzeczy, których i ja nie rozumięm; eh! — gdzie djabeł nie może, tam babę posle. Chciałaś mądrą mieć córkę, — to i masz, ale doczekasz się pociechy, doczekasz.

— Bredzisz znów, bredzisz, tatku; — przerwała pani Skrzętska — wykształcenie dziś każdemu potrzebne, a nawet kobiecie konieczne.

— Głupstwo! — zaburczał pan rządzca — głupstwo!

— Nie głupstwo — odparła żona.

— Hola, hola! — krzyknął mąż — patrzcie no, gotowa prawie koszałki opałki. Do garnków wam, do kuchni, do kaczek i gęsi.

— Niechże i tak będzie — szepnęła żona.

— Tak być musi i jest — zawołał mąż i pięścią w ramę okna uderzył, aż samowar opodał stojący drgnął.

W tém, w drugim pokoju młoda jakaś, a wprawna ręka akordów kilka uderzyła na klawiszach, akordów miękkich, cichych, potem mełodya z tych głosów wypłynęła urwanych, niepochwytna zrazu, aż wyraźniej, coraz wyraźniej dzwony jękły pogrzebowe, w duchu Szopena zrodzone, i płacz powstał sierót i cicha kapłana szepnęła pociecha.

W pierwszym pokoju ustała kłótnia. Pani Skrzętska, nad robótką schylona, wsłuchiwała się w tę pieśń rzewną, dziwnie polskiemu sercu sympatyczną, — pan rządzca usta rozchylił, jakby połknąć chciał niezrozumiałe dla niego dźwięki.

Pieśń zamilkła, struny jeszcze brzmiały echem uchodzącym — potem i echo uleciało.

Pani Skrzętska spojrzała z tryumfem na męża, a oko jej zwilżone zdawało się mówić: — widzisz, to skutki wykształcenia!



— Jakoś to mdłe i miękkie, — rzekł pan rządzca —  
woleń raźnego mazura, lub skoczną poleczkę.

Pani Skrzętska uśmiechnęła się, głowę opuściła na  
piersi, milcząc jak zwykle.

— Wanda! — zawołał pan rządzca przez drzwi.

Drzwi przyległego pokoju rozwarły się i w progu sta-  
nęła dziewczyna siedemnastoletnia, jedyna pana rządzcy  
córka. Była podobną do matki, więcej tylko rozwinięta  
w rysach od pani domu, u której przyroda, do pewnego do-  
szedłszy stopnia, zatrzymała się nagle, przestając wykończyć  
rysy piękne, choć nie wyraźne, jakby zatarte. Ten sam  
włos czarny w dwóch splotach, różową związanym wstąż-  
czką, spadał przez okrągłe ramiona na piersi pagórek,  
który się już wznosił i opadał, jakby lekkim tknięty powie-  
wem; twarz podobna, tak samo blada, oko czarne, głębokie,  
jak morza toń sążnista, w której potwory się kryją i sy-  
reny, cuda i śliczności. Wanda nie miała rysów arystokra-  
tycznie pięknych, wykończonych; w jej twarzy pojedyncze  
części nie składały się w rzeźbę estetycznych kształtów, ale  
razem wzięte uderzały mile, wabiły, zatrzymując oko, takie  
zwłaszcza, które i na kobiecym czole myśli szukało, — a  
w piersi dziewczyny serca, umiejącego kochać i wzruszyć  
się, choćby śmiertelnie.

Stała w progu, w milczeniu czekając ojca rozkazów.

Pan rządzca przypatrywał się córce; podobała się o-  
cu, bo łagodniej, niż zwykle, rzekł:

— Zagraj mi marsza jakiego, Wando!

— Słucham tatki — odparła dziewczyna.

Zabrział mazurek Dąbrowskiego, a wypłynął tak ra-  
żno z pod drobnych dziewczyny paluszków, z takim ogniem,  
że i cudzoziemiec odgadłby snadnie, że ktoś, co tak odgrywa  
marsza swego narodu, i w sercu go nosić musi.

Pan rządzca podniósł się, wyprostował, jak struna,  
ręką giest zrobił, podobny do złożenia się pałaszem. —  
Marsz narodowy odbił się w piersi Polaka.

Po skończonym marszu weszła Wanda do saloniku  
i siadła przy matce, biorąc do rąk książkę złożoną na stole.

Owiana ciepłem, które powiało na nią z pieśni narodowej, śliczną była, podobną do pączka róży stulistnej, woniącej przecuciem rychłego rozkwitu w uroczy poranek majowy.

Schyliła się nad książką i czytała.

Ojciec tymczasem siedział na krześle pod oknem i znów bębnił palcami, ziewał po troszę, zasłony uchylał, na dziedziniec patrząc. Ani widać gości!

— Ani żywój duszy, — mruknął, psa ani kota. Niech djabli porwą! Człowiek się nudzi, jak pies.

Kobiety milczały.

Milczenie żony i córki, jednostajny klekot ściennego zegaru, pieśń cicha samowaru, znudziły pana rządzcę, bo wstał i chodzić zaczął, to szybko, to wolno, aż zawrócił się nagle, stawając przed stołem.

— Cóż tam znów czytasz? — zapytał córki.

Mickiewicza wiérse — odparła Wanda.

— Maćkiewicz, nie Maćkiewicz, taki, czy siaki, powiedziałem ci, żebyś nie czytywała, bo to głupstwo wszystko.

— Dziś Niedziela, tatko — szepnęła Wanda.

— Niedziela, czy Sobota, Piątek, Poniedziałek; lepiej zajrzyj do kuchni i przyspiesz wieczerzą.

Dziewczyna podniosła się i wybiegła do kuchni.

Pan rządzca znów po saloniku chodził, przez okno wyzierał, przed stołem stawał.

— Mogłabyś choć raz usta otworzyć do mnie, rzekł do żony — choć słówko przemówić, a nie siedzieć, jak truśka.

Żona milczała, dalej robiąc pończochę.

— Po djable baba — mruknął mąż.

— Hę, — zawołał dalej — nicze nie mówisz?

— Co rozkażesz? — zapytała żona.

— Gadaj co, bo mi nudno.

— Przecież i tak mnie zawsze przekrzyczysz.

Pan rządzca splunął.

W tém na dziedzińcu psy głośno ujadać zaczęły, stróż wołał na kogoś, aby się strzegł przed bestyami.

— Idą — zawołał pan rządzca uradowany.

Drzwi przysionka skrzypnęły, drzwi salonu otworzyły się i w pokoju stanął młody mężczyzna w podróżnym stroju.

Pan rządcza spojrział — krzyknął przerażony:

— A słowo stało się ciałem, niebożczyk pan hrabia!

— Nie, panie, rzekł przybyły śpiesznie — tylko sy...

Chciał coś powiedzieć podróżny, połknął jednak słowo, które już na ustach siadło.

— Jestem Artur Norbert, angażowany przez pana nauczyciel domowy — rzekł po namyśle.

— A.. a.. a.. szepnął rządcza — niepodobna, istny panicz!

Stał tam na progu młodzieniec przystojny, z elegancją, choć bez przesady, ubrany, w postawie dumnej, jaką daje przekonanie własnej wartości, z podniesioném czołem, na którym błądziła myśl kłopotna, widna ledwie. Stał dumny, jak pan, a nie, jak ktoś, co przestępuje próg przyszłego chlebobawcy.

Nie tak wystawiał sobie pewno pan rządcza nauczyciela domowego, bo patrzył długo, milcząc uparcie.

Drugimi drzwiami wbiegła Wanda z serwetą w rękę; i ona stanęła, ujrawszy obcego. Oko jej czarne spoczęło zdziwione na postaci Artura, twarzy uczepliło się bladę natrętnie, badawczo, jak oko człowieka, który widzi twarz obcą, postać niewidzianą, a jednak kiedyś, gdzieś pochwyconą, czy przeczytą, czy wysnioną.

Wandzie zdawało się koniecznie, że widziała już gdzieś to czoło wyniosłe, te oczy daleko patrzące i usta uśmiechnione niewymownie smutnie.

Nauczyciel domowy popatrzył na dziewczynę, ale wzrok jego minął Wandę obojętnie, nie wracając do niej, a Wanda schyliła główkę, bo ból uczuła w sercu dotkliwy, że ten obcy, a widziany już gdzieś człowiek, bez zajęcia na nią spojrział.

— Witam, witam pana, — rzekł gospodarz — proszę rozgościć się w domu moim, proszę wołać, a wołać głośno, ilekroć się panu jeść zachce.

Nauczyciel skłonił się.



Mała, zgrabna pokojóweczka weszła z taléřzami, i z Wandy pomocą nakryła do stołu.

Pan rządzca był serdeczny dla nauczyciela, rozmawiał wiele, wypytywał, opowiadać zaczął rozmaite anegdotki, żywił się; miał przecież choć kogoś obcego, a dziś przybysz był gościem jeszcze.

Siedzieli tak późno w noc, bo pan rządzca nagadać się nie mógł, nacieszyć.

Była już północ, kiedy gospodarz domu ze świecą w ręku poprowadził nauczyciela do kwatery. W pokoju, przeznaczonym dla nauczyciela, podniósł pan rządzca świecę i wskazując ręką mieszkanie, rzekł:

— Oto kwatery pańska! Nie ozdobnie urządzona, bo ja to sobie zwyczajny szlachcic, więc nie ma na meble i tym podobne drobnostki.

Zresztą i tak dość dobrze! Dobranoc!

— Dobranoc!

Kiedy rządzca wyszedł, powiódł nauczyciel okiem po ścianach — ogołoczone były, po sprzętach — połamane były, — po mieszkaniu — smutne jakieś, zaniedbane. Ani zasłon w oknie, ani kwiatka, na ścianach obrazka żadnego, krzyżyka nawet nie było; stół prosty, dwa krzesła, dwa łóźeczka, w jedném z których zasypiał chrapiąc przyszły uczeń, i ot już wszystko.

Artur — bo był nim nauczyciel — usiadł przed stołem, z kieszeni wydobył książkę i czytać zaczął, nie odwracając się na pokój, a tak obojętnie i swobodnie, jak gdyby w Berlinie był i przed biurkiem swoim pracował, pod nogami czując miękki kobierzec. Przez myśl jego nie przeszły ani żale, ani klątwa na rodzica, ani niezadowolenie, bo Artur przyszedł tu, aby pracować i dalej groszem zarobionym studia kończyć lékarskie.

Dzieckiem do miękkich przywykł aksamitów, do wysłanych poduszek, karet, potem młodzieńcem we wszystko opływał, bo ojciec jednakowi nie szczędził niczego, ale w czasie włóczęgi po dalekim świecie zdarzyło się nieraz nocować w karczmach na mokrych podłogach, albo w ubogich wieśniaczych chatkach. Artur umiał w każdym znaleźć



się położeniu, a zawsze dumnie, a zawsze swobodnie, czy wśród ubóstwa poniżeń, albowi dostatku łechcących pochlebstw. Później w Berlinie, choć nie wiele było pieniędzy, Artur zawsze starannie urządzał mieszkanie, bo miły pokój — sądził — na humor wpływa, a co najmniej, pracę nocną uprzyjemnia. I tu nie zraził się ogołoconymi ścianami pana rządcy; spojrzął na nie obojętnie i czytał.

W pokoiku było cicho, grobowo! Spokoju nocy nie urozmaicał brzęk samowaru, do którego akademik przywykł przy nocnej pracy.

Było nad ranem, kiedy książkę złożył, głowę wsparł na dłoni i zadumał się. Nie dziw, że w chwili, kiedy stanowisko jego tak bardzo się zmieniło, tak bardzo inaczej, myśl Artura na złotej nici pamięci posunęła się daleko aż w dziecka krainy i dalej i dalej. Wszakże przez okno widział dwór stary, smutny, w którym kołyska jego stała, a w niej dziecina uśmiechniona, oczkami śniąca błękitnemi, o Bozi śniąca dobrą, co tam wysoko na niebie z gwiazdek patrzy, na księżycowym siedząc promieniu, o matce marząca ukochanej, co nad kołyską zwieszona „luli, luli — szepce — aniołeczku, luli, mój maleńki.“

I powiał smutek na Artura, z krain już szarych, bezpowrotnych, z krain dziecka nieodwołalnych, tęczę pamięci eteryczną, jak bramą, zamkniętych, smutek cichy, rzewny, śledki, potrzebny częstokroć ludzkiemu sercu, jak trucizna słabnącemu ciału. Artur widział uśpioną już pod darnią matkę świętą i uścisku ję zapragnął, gorącego uścisku — dziś, kiedy samotny był, sponiewierany. Ale matka w ojców śniła grobie, serce skruszało już, to dobre, święte serce, które go jedynie prawdziwą kochało miłością...

Inny obraz przesunął się przed duszę młodzieńca. Widział chłopca hasającego tam za dworem, w ogrodzie wielkim, ze łąką w oku patrzącego na opuszczone wieśniaków chatki, z pragnieniem ulżenia dołi tym wiecznym polskiego narodu pariasom.

— „Niech dorosnę, niech duży będę, — mówił chłopczyna — a inaczej im będzie.“ — Dziś dorósł i stał wśród

ludu rodziny swojej, ale nieznanym, z obcym nazwiskiem, uboższy od najędźniejszego wieśniaka, który nie czuje ubóstwa swego.

I serce Artura ból ścisnął wielki.

Jeszcze inny obraz przesunął się z wolna. — Widział młodzieńca łaknącego wiedzy, chciwego ofiary z życia, pragnącego miłości wielkiej, jedynój. Ale wiedzy głębie okazały się tak dziwnie płytkie, brzegi jej tak bardzo szczupłe, że po zbadaniu ich — Artur mniej wiedział, niż poprzednio, kiedy sercem więcej odgadywał, niż rozumem rozwiązywał, — ale miłości wielkiej nie zaznał, choć kobiet wiele widział, pięknych, piękniejszych.

Artur zerwał się z krzesła, pod oknem stanął, czoło potarł i zawołał:

— Uchódźcie, uchódźcie, wy mary minionie, uchódźcie! Marzenie powiewne, mgliste rozumu siłę osłabia, serca krew ciepłą ssie chciwie, pierś zbrojną rozbija, rozprzęga. Uchódźcie, bo w ślad za wami idą zwątpienie, bezwładność i upadek!

Stał na rozstajnej drodze żywota swego, na której człowiek z sercem gorętszym raz jeszcze po za siebie spojrzy, na przebytą już ścieżkę, z żalem za młodości rajem.

Jedna droga do życia prowadzi, ofiary pełnego pracy i poświęcenia, choć zwykle kosztem własnego szczęścia, druga do bezwładności, próżnemi mary zrodzonój.

Artur wyprężył się: „czynu, czynu“ — zawołał. — Poszedł drogą prawą.

I znów podniosła się pierś zbrojno, czoło błysnęło myślą jasną.

Świtać już zaczęło, kiedy spoczął na łożu.

— Już tylko nie mów, nie gadaj, pani Kunegundo, bo nie przekonasz i tak. Co wiem, to wiem! Porusza się, jak pan z panów, a hołysz przecie, bo inaczej nie guwernerowałby; ust otworzyć nie raczy, a jeśli się odezwie, to jakoś górno, że go djabeł może rozumieć; czasem nawet, kiedy się rozgadam o polityce, lub inną jakąś ważną rzecz, spojrzysz na mnie tym dziwnym wzrokiem i uśmiechniesz się, jakby chciał powiedzieć: jakiś ty głupi!

Pani Kunegunda rozśmiała się.

— A co to, to już za wiele — prawić dalej pan rządca. Tak, już za wiele. Sądziłem, że nauczyciel mego dziecka będzie i ojca bawił, a Norbert tymczasem ani myśli nauczyć się preferansa, ani myśli prawić o gospodarstwie, tylko gdzieś się włóczy po nocy, jak lunatyk.

— Ale przyznasz, panie Skrzętski, że sumiennie syna twego uczy — przerwała pani Kunegunda.

— Jeszcze by też, toć płacę mu za to.

— Co do mnie, nie uczyłabym twego syna za całe miliony.

— Że tępy, że nie łatwo pojmuje? I cóż ztąd? Toć i ja nie lgnąłem doławek szkolnych, a przecież wyrosłem, jak drag. Czy nie prawda? — i pokręcił węża pan rządca.

Pani Kunegunda rozśmiała się powtórnie.

— Gniewa mnie ten Norbert — mruknął rządca i splunął.

— Miły przecież, grzeczny człowiek.

— Właśnie dla tego.

— Wykształcony, przyzwoity.

— Właśnie dla tego.

— Nie masz powodu do gniewu, panie Skrzętski.

— Właśnie dla tego, że powodu nie mam do gniewu, gniewam się tym więcej. Czemu? No, bo mi psiawiara imponuje.

Splunął raz jeszcze i wyszedł z dworu na dziedziniec.

Pani Kunegunda czekała chwilę, aż ustał świst odda-

lającego się rządzcy, potem przed zwierciadłem stanęła, włos poprawiając i suknie.

Była to stara panna, ta pani Kunegunda i nazywała się Kicińska. Kicińska? Tak jest, nie inaczej — odpowiadała z dumą, ilekroć ją o nazwisko pytano. Była pani Kunegunda dumną z szeregu przodków, którzy przez wieków nie mało świecili na stanowiskach wysokich, znała imiona ich wszystkie na pamięć i chętnie mówiła o blasku i świetności dawniej swego rodu. Nie dziw! Człowiek straciwszy wszystko przywiązuje się namiętnie do ostatniego łachmana bezpowrotnej przeszłości, czepia się, choćby cienia pamiątek, które lepszą przypominają dolę. Bo doła pani Kunegundy tak się bardzo, bardzo różniła od losu jej ojców, bo była na łasce pana Skrzętskiego, straciwszy jedyne go brata, który jako proboszcz bielecki zmarł przed rokiem. Po ojcach swoich wzięła tylko imię, jedyną spuściznę, więc ukochała to imię miłością największą — żalu, sponiewieraną dumy miłością palącą. Ludzie wyśmiewali ubogą arystokratkę, ale nie dobrze robili, bo śmiech nie leczy, nie goi, tylko rani i rozdrażnia więcej jeszcze. Toć szewczka w jedwabnej sukni nie spojrzy na koleżankę uboższą, a zbogacony lokaj od wczoraj między panów się ciśnie. Tak będzie, bo było zawsze, dopóty nie zejdzie na ziemię królestwo boże, w którym to wszyscy ludzie będą szlachetni i mądrzy. A przecież prawdą, że trzeba być synem starego, a podupadłego rodu, aby zrozumieć, jak ludzie podli i ordynaryjni bywają? Czy przez zazdrość, czy z innego powodu — któż tam odgadnie?

Pani Kunegunda była śmieszna arystokratką, ale zostawmy jej i śmieszność nawet, kiedy nic innego na tym świecie nie miała, prócz pamiątek. Nie to było jej grzechem. Lubiła się podobać, snowała jeszcze długą nić marzeń o... o lubym, którego wyśniła kiedyś, podobno lat temu dwadzieścia. Nieszczęsny młodzian, który się dostał w jej pobliże, nieszczęsny biędak! Uśmieshami, szeptami, powłóczytym oka spojrzeniem obejmowała mizeraka, jak pajęczyną, a tu bięda z kobietą, dla której trzeba być grzecznym. Głupia ta grzeczność! Ileż to banalnych frazesów,



tajemniczych westchnień wysłuchać czasem trzeba, dla tego, że je kobiéta mówi, albo wysapie!... „Padam do nówek, panom łaskawym, bo widzę miotły w oddali... a strasznie ich się boję.“

Otóż pani Kunegunda, jak wszystkie prawie stare panny, chciała jeszcze na ślubnym stanąć kobiécu koniecznie; i roiła... usque ad finem.

Któs dowcipny powiedział, że panna umiera, a kochanka pragnie. Przepraszam wszystkie panny stare, ale mi wiele dojadły; toć się mszczę, jak mogę, choć piórem,..

A potem, a potem była pani Kunegunda bardzo pobożną, oj bardzo. Toć mizeractwo nie miało nikogo prócz P. Boga, który wszystkich skarg cierpliwie słucha.

Stała przed zwierciadłem, poprawiając włosów. Zmarszczki pokrywały jęj twarz, lata wysuszyły jęj pierś, ale pod tą piersią było jeszcze serca ciepłe, młode — jak chętnie rozpowiadała wszem i wobec.

Taki Norbert, toć to gratka nie lada dla pani Kunegundy. Przyczepiła się pani do biédaka, jak cień szła za nim, uprzykrzając mu to życie, już i tak nie bardzo słodkie, przysiadami ekliwemi. Kiedy zawitał do Białej cichy, smutny, nie miała właśnie pani Kunegunda nikogo, więc daliż na łowy. Ba! kiedy już zmarszczki poprzszczyły twarzyczkę, czoło bruzdy zorały, a włos już bielił tu i owdzie. Ale na zmarszczki dobre bielidło i lepy rozliczne, na włos ludzie mądrzy smarowidło wynaleźli. Więc daiż pracować nad sobą, nad sukniemi, loczkami itd.... Pan rządzca widział wszystko i śmiał się po cichu, ale i Artur widział, lecz nie śmiał się, bo tacy ludzie nie szydzą nigdy, tylko smutnieją na objawy głupoty wszelakięj.

To, to! Podobno głupich więcéj, niż złych. A niechby sobie i byli, gdyby się gwałtem nie narzucali...

Stanowisko Artura stawało się z dniem każdym trudniejsze. W miarę, jak powszedniał panu rządzcy, zaczęto go zapraszać do licznych robótek. I tak dziwił się rządzca, że go nauczyciel nie chciał zastąpić przy ludziach w stodole, że wieczory dla siebie zachowywał, miasto chlebobawcę bawić. Trzeba choć raz w życiu przez czas najkrótszy być

nauczycielem w domu wioskowego obywatela, aby zrozumieć, że życie ciężarem tylko, służbą niemiłą.

Człowiekowi wykształconemu uprzykrzyła się rychło bezmyślna, rubaszna paplanina pana rządzcy, więc choć z razu przez grzeczność gospodarza bawił, już po miesiącu wręcz oświadczył, że wieczory jego są własnością. Pan rządzca niechętnie się zgodził na taki stosunek, mruzczał po cichu, ale głośno skarżyć się nie śmiał, bo Artura postać, obejście grzeczne zawsze, salonowe i ten uśmiech dziwny imponowały gospodarzowi, który darmo szukał po głowie wytłumaczenia. Często patrzył w twarz guberniera, słuchał słów jego, ilekroć Artur goręcej coś rozpowiadał, ale pojąć nie mógł, dla czego mimowolnie milczał przed tym człowiekiem, którego przecież płacił.

Płynęły Arturowi dni jednostajne, jak na wsi, szły cicho, a szybko. Kiedy myśl znużona potrzebowała wytchnienia, za wieś wychodził, chatkom przypatrywał się wieśniaków, z dzieciakami rozmawiał, gawędził z babami.

W pokoiku działy się tymczasem rozmaite rzeczy, których Artur z razu nie spostrzegł, aż zbyt się stały widoczne. Ręka jakaś robiła w ubogim guberniera mieszkaniu porządek, stawiała kwiatki na okna, odkurzała zapyłone książki, krzesło miękką wysłała poduszką. Artur zrozumiał, iż był ktoś w domu, którego dola jego obchodziła, a choć nie chciał się domyślać, nie chciał koniecznie, czuł, że ciepło łagodne, miłe, owiało pierś jego, ujęło serce; słyszał, jak głos dźwięczny, cichy; szeptał; „Kochają cię ludzie, kochają.“

Wszakże zdarzało się Arturowi, że nieraz sam na sam z Wandą długie siedział godziny, albo w ogródku się spotykał, a dziewczyna nie unikała guberniera, owszem, słuchała chciwie słów jego, wielkich planów na życie przyszłe, które rozsnuwał przed zdumionym panienki okiem, przeczuwszy, że go serce kobięce rozumie. Rozumiało go serce kobięce; więcej, — przejmowało się jego zdaniem, ciepłem, ale nie widział jeszcze płonącego Wandy oka, bo on nie widzieć nie chciał prócz pracy, prócz ofiary.

Pan rządzca zmienił rychło w obec Artura taktykę. Z grzecznego gospodarza stał się grymaśnym, opryskliwym,

często nawet cierpkim. W niczém dogodzić mu nie mógł ów „hołysz,“ co to ubożuchny był, a przecież dumny i nieprzystępny. Ludzie dwóch światów ani zgodzić, ani rozumieć się nie mogli. Pan rządzca — reprezentant siły fizycznej, Artur — człowiek myśli i pracy duchowej potykali wszędzie o skład odrębny pojęć i przekonań.

A że człowiek potrzebuje towarzystwa, więc szukał Artur daremnie bratniego ducha, aż oko jego spoczęło na Wandzie. Dziewczyna cicha, przygnębiona surowém obejściem ojca, chciwie chwyciła słowa młodzieńca wykształconego; i stało się jakoś, że zaczęli przywykać do siebie, tęsknić za sobą. Przeczyły się pokrewne duchy, i już serca ich snuły powiewne tkanki na rozum, na wolą. Cichucho amerek mały pracuje, aż zrobi swoje i rozśmiawszy się uleci, wołając: rozwiążcie, com związał; złamcie, com złączył! Ba! Kiedy nie można, chyba serce się złamie na życie całe.

Wróć się, gawędziarzu, do panny Kunegundy, która jeszcze przed zwierciadłem stoi, poprawiając loczek, co niby z niechcenia, tak sobie, na czoło spada.

Toć niedługo wieczera, więc i Artur nadejdzie i będzie trzeba konkurować.

Pierwsza Wanda do pokoju weszła, za nią matka, a w końcu pan rządzca.

— Gdzież Norbert? zaczął gospodarz.

— Pracuje jeszcze — odparła Wanda.

— Któż cię o to pytał, wścibska? — fuknął ojciec.

Wanda zarumieniła się, oczy spuszczając.

— Coś zanadto troskliwie zajmujesz się tym mądralą — mruzczał ojciec. Wieczera na stole, a on czekać na siebie każe, jak królewicz.

Nadszedł i Artur. Bledszy był, niż zwykle, znużony więcej. Dwie pary ocz spoczęły na jego twarzy; pierwsza — pani Kunegundy z ciekawością, druga — Wandy z miłością.

Po wieczery zasiadł pan rządzca z żoną do marysza, Wanda wyszła, a pani Kunegunda wzięła się do Artura.



Choć miesiąc już cały pod jednym żyli dachem, rozmowa ich dotąd w ogólnikach się obracała, bo Artur unikał wszelkiego poufnego zbliżenia się.

— Smutne panu życie na wsi? — szepnęła sentymentalnie.

— Położenie chwilowe mnie zasmuca, — odparł zapytany — nie zaś wieś. Wszakże jest ona wdzięczną niwą, polem zasługi dla duszy cieplej, a myślącej. Szkoda — dziś ręce mam związane.

— Nie rozumiem pana — rzekła panna.

— Lud, pani, wiejski, roli uprawa — wszystko to praca najodpowiedniejsza dla Polaka.

— Może pan prawdę mówi, ale w innych wychowana stosunkach nie mogę panu przywodzić.

— Teraz ja pani nie rozumiem.

— Nazywam się Kicińska.

— A... a... chcesz pani przez to powiedzieć, że jesteście córką starego rodu, więc splamiłabyś się dotknięciem łachmanów ubóstwa?

— Zgadłeś pan.

— Toć i ja... nie, i ja arystokratą jestem, pani.

— Pan — panie Norbert?

— Ja, pani.

— A to jeszcze miłej rozumiem.

— I ja arystokratą jestem, pani, tak, — mówił Artur — bo pragnę nauką, pracą, ofiarą z życia przewyższyć tłum codzienny, bo chcę lepszym być od tych wszystkich, co dzień gonią za dniem bez celu, bez samowiedzy, aby uszanowali we mnie wyższego człowieka, i uznali przewodnikiem swoim.

— Dziwne teorye — szepnęła panna, odsuwając się od mówiącego.

— Mnie się prawdziwemi zdają.

— Wolno panu.

— Oczywiście, że wolno.

A jednak był Artur w tej chwili tak arystokratycznie pięknym, że panna Kicińska ponownie na twarz bladą akademika oczy zwróciła, patrząc i patrząc.



Przy stoliku zielonym grał pan rządzca w maryjasza, śmiejąc się i zrządzając. Była już dziesiąta, kiedy nagle wszedł klucznik.

— Czego chcesz? fuknął pan rządzca.

— Proszę wielm. pana, — mówił klucznik — a to Bartkowiaczka coraz więcej chora, trzebaby po doktora posłać, proszę wielmożnego pana.

— Właśnie w porę przychodzisz, — rzekł rządzca — ośle stary. Będę po nocach tłukł szkapę dla baby, z której i tak nic nie mam, bo bestya choruje zawsze, skoro żniwa nadejdą.

Klucznik dotknął kapeluszem ziemi i wyszedł.

— Ze dwudziestu, mamuchno! Wychódź! — mówił pan rządzca — chamica położyła się, bo trzeba się wyleźć temu bydłu. Co cham, to cham; nic nie robić, dobrze jeść i pić, — ot, do tego są dobrzy. Ze czterdziestu! Bij kozera, jeżeli możesz.

— Daleko we wsi mieszka Bartkowiaczka? — zapytał Artur.

— A panu co potém? — fuknął pan rządzca.

— Chciałbym pójść do niej.

— Nie wiem na co po nocy się włóczyć — mruknął p. rządzca — do chorój baby.

— Właśnie dla tego, że chora. Lékarzem jestem, a choć egzaminów nie składałem jeszcze, możebym co poradził.

— Ruszaj pan, choćby do djabła; — rzekł pan rządzca — w trzeciej chałupie od folwarku znajdziesz pan chorą. Zaczynaj, mama!

Artur wyszedł.

Szybko biegł drogą do wsi, nie oglądając się, aż przed pierwszą stanął chałupą.

Noc była ciemna, mglista. Na niebie ani gwiazdki jednej, ani srebrnego promienia księżyca, na ziemi ani ptaszka, psa nawet. Cicho i ciemno, chłodno i smutno wisiał wieczór jesienny nad chat rzędami, które, jak duchy tajemnicze niewyraźnie tylko wychylały się z nocnych powijków. Z jeziora wiatr wył przeraźliwy, dachy słomiane unosił, drzewka

— sieroty nachylał, liść wśród drogi porzucony, opadły, żółty w trąbki związał i pędził. Śliczna muzyka!...

Artur z głową szedł zwieszoną, bo skroń wyniosłą obciążały myśli mnóstwo, a pierś dotknął smutek, który wiał od chat osieroconych — smutek wielki, wyższy od ziemskiego, smutek, który bohaterów serce zagrzewa, pieśniarzom lutnie dźwięczniej nastraja, pracownikom cichym rękę umacnia, myśl ulatnia.

Artur do wskazanej zbliżył się chaty — do wnętrza okienkiem spojrział — i ruszyć się nie mógł, bo przed jego okiem rozwinął się obraz równie smutny, jak rzewny i powabny.

W środku izby płonęło łuczywo, rzucające blask czerwony na ubóstwa schronienie, na sprzęty i ludzi, których kilkoro było. Wszyscy wiankiem otoczyli łóżko, na którym leżała chora kobieta w postawie półsiedzącej, zwieszona głową na ramieniu dziewczyny, nad cierpiącą schyloną, głaszcząc wolną ręką czoło żółte wieśniaczki i warkocz z pod brudnego wychodzący czepca. Słowa pociechy szeptała pewno dziewczyna, bo twarz chorąj rozjaśniała się stopniowo, — a oko jej pytało się źrenicy opiekunki młodej, ile nadziei jeszcze, ile w niej życia?

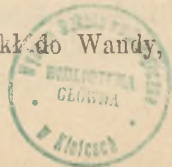
Artur twarz do szyby zbliżył i patrzył i oka oderwać nie mógł od tego obrazku wdzięcznego. Śliczną była Wanda — bo ona to była, — dziwnie piękną, jak pociecha uosobniona, jak szept serdeczny pochwycony, zaklęty w postać widomą.

Sobą zajęty, życia przyszłego zamiarami wymarzonemi, nie miał Artur do dziś czasu przypatrzeć się Wandzie, choć miesiąc przeszło przy wspólnym z nią siedział stole. Teraz widział własnymi oczyma, że piękną była, bardzo piękną, a zrobiwszy to odkrycie zasmucił się, zadrżał.

— O! szalony — szepnął — znowu marzyć! Nie ubogiemu szczęścia uśmiech swobodny, nie chciwemu wielkości przyćmiony blask, różowe światło ciepłego domku — nie, nie!

Potarł czoło, ręką po oczach przesunął i wszedł do chaty.

— Pani tu? — rzekł do Wandy, pochwaliwszy Jezusa



— Gdzie ubóstwo i nędza — odparła dziewczyna, rumieniając się.

— Odstąp mi pani na chwilkę swego miejsca; jestem lekarzem, może co poradzę.

Usiadł przy chorój, wypytywać zaczął troskliwie, pulsu się dotknął, oddech badał.

— Żle z wami, matko — rzekł — potrzeba śpiesznego ratunku, aby was zachować dzieciom.

A było ich kilkoro, tych dzieci; kryły się wszystkie za piec, starsza tylko dziewczynka trzymała się Wandy, uczepliwszy się jój sukni.

— A pani — mówił Artur do Wandy — wracaj do domu, bo choroba zaraźliwa, to tyfus.

— Panu wolno się narażać, mnie nie? — szepnęła dziewczyna.

— Ja co innego; to moje rzemiosło.

— Szlachetne rzemiosło — rzekła Wanda.

Artur spojrział na córkę rządzcy — zamyślił się — uśmiechnął smutnie.

— Chodźmy więc razem — rzekł.

Podawszy sobie ręce, szli oboje drogą do folwarku. Wandy ramię drżało na ramieniu Artura, a drżenie to lekko strumieniem elektrycznym uderzyło jego członki i nerwy. Artur milczał, bo znał przyczynę uderzenia. Był przecież lekarzem!

— Zazdroszczę panom, — mówiła Wanda — zazdroszczę wam życia, tkanego pracą, czynami. My słabe kobiety poświęcić się nie możemy. a jeśli się poświęcimy, nikt tego nie widzi. Mężczyzną być, o! tak, i losem gardzić i samemu los sobie tworzyć, — to rozkosz wielka pewno.

— Wielka, pani, rzekł Artur.

W pokoiku pan rządzca grał jeszcze w karty.

— Trzeba posłać natychmiast do apteki; — rzekł Artur — kobieta na tyfus chora, a dzieci ma pięcioro.

— Pal ją djabli, mospanie, — odparł pan rządzca — pójdzie jedna, będą dwie. Chybabym sam pojechał, bo ludzie moi w niedzielę rozbiegli się na wszystkie strony.

— Chcecie panowie od ludu sympatyj, a mniej go ce-

nicie, niż bydło, niż konia; bo kiedy koń zachoruje, jużci apteka jest i weterynarz, a przecież robotnik wasz choć tyle ma prawa żądać opieki, ile jój bydłu dajecie; i on na was pracuje, częstokroć ciężej, niż koń. Daj mi pan swego wierzchowca; — sam pojedę do miasta — rzekł Artur.

— A, a, śmiało mówisz, panie Norbert — mruknął pan rządca.

— Śmiało, jak prawda, panie Skrzętski.

— Ciekawy jestem, jak téż profesor pojedzie na koniu? — mruzczał rządca. — Dajcie mu parasol kraciaty, bo inaczej nie potrafi.

— Milcz pan, — rzekł Artur — złego udajesz, panie Skrzętski, bufonujesz dowcipem, którego nie masz, złością, której nie zna serce twoje, bo Słowianinem jesteś. Mnie głupstwem nie obrazisz nigdy.

Rządca osłupiał.

— Powiem ci jeszcze, panie Skrzętski, — mówił Artur dalej — że do konia nawykłem od dziecka i chłopcem więcej koni miałem pod wierzch i do karety, aniżeli ty wszystkich razem.

— Jedź pan już, do trzysta djabłów, — mruknął pan rządca — a złam kark hardy.

— Jadę — rzekł Artur — poprzednio jednak prosiłbym posłać do księdza proboszcza, aby zechciał pójść z wija tykiem do chorój, bo przecież jedyna to sponiewieranych tych ludzi pociecha.

Cichy domek pana rządzczy zamieniać się zaczął stopniowo na ul brzęczący, w którym trutniów mnóstwo, żółtych i szarych, w około jednej roiło się królowej. Pan rządca miał córkę śliczną, a młodą, a wykształconą panienkę, miał dalej i worek nie mały, złotem nabity. Zdarzy się garbata dziewczyna, jużci złoto garb wyrówna, w kibic łani zamienia; — jeśli fałdy pokrywają twarz niepięrszej młodości, złota blask opromieni, zapelni fałdy i bruzdy.



Otóż i otóż! Piękność mija, — mówią mędrcy — młodość przekwita, — dodają — a złoto im starsze, tym lepsze, złoto zawsze młode, piękne zawsze, jak nadzieja — zwo-  
dnica, bo złoto życia rozkosze daje i karety i konie i ostrzy-  
gi i wino szampańskie, bo złoto jedyną mądrością, a bez  
niego człek głupi.

Pan rządzca miał garnek pełen kruszcu żółtego; —  
wiedzieli o tem wszyscy, choć się nie wydawał, na biędę się  
skarżąc, lamentując. Wiedzieli najlepiej żydzi, którzy nizko  
panu rządzcy się kłaniali, a żyd to chodząca księga hipote-  
czna, — najlepszy barometr gospodarskich kieszeni.

Latem gospodarz na wsi się zakopie, zaryje, zbierając  
plony przeszłorocznej pracy; zimą odżywa towarzysko, ten  
i ów umysłowo nawet. Zajeżdżały téż do Białej bryczki i po-  
wozy, czwórki i dubeltówki, dzwoniły sanie, i kwiat mło-  
dzieży okolicznej dworek pana rządzcy zapełniał, który się  
z tego radował, bo każdy z konkurentów, choć preferansika  
z panem ojcem grać musiał, albo wieczór jeden przegawę-  
dzić. O pannę nie wiele pytali, ani ojciec ani konkurenci,  
bo pierwszy nie pojmował, aby się oprzéc mogła rodzica  
rozkazom, drudzy, znając pana rządzcy despotyzm domowy,  
o jego tylko łaskę się starali, przekonani, że panna odmó-  
wić nie zechce, skoro ojciec łaskawie pozwolić raczy. Ani  
pan rządzca Wandy nie znał, ani konkurenci — bo ani pier-  
wszy, ani drudzy zrozumieć nie mogli kobiety wykształconej,  
wyższej. Była na pensyi! I cóż ztąd? — mówiono. Tyle  
innych na pensjach było, a potém mężowskim uległy gry-  
masom, bo mąż to pan zawsze.

Pan rządzca rad był gościom, bo śmiech mło-  
dzieży, dowcipy dowcipnych pomogły jakoś przepędzić dłu-  
gą, zimową wieczory. A potém i wieczorami, kiedy go-  
ści nie było, siedzieć mógł spokojnie u siebie, aby myśleć  
i dumać, niepotrzebując gawędki przemądrzałego guwenera,  
jak Artura już w tydzień nazwał. Pan rządzca w duszy  
wówczas rozbierał wszystkich paniczów, którzy zjeżdżali po  
Wandę, rozważał komuby dać córkę — jedynaczkę i gar-  
nek ze złotem? Gospodarzem być musiał — to pierwszy  
i niezmienny warunek, bez którego nic. Ci wszyscy mądrale,

— mówił sobie pan rządzca — których nauka panami zrobiła i sędzia i doktor i profesor i jak ich tam zowią, wszyscy nie dla Wandy mojej. Co mi za chłopcy? Jak szczy-pawki, wątle takie, blade jakieś, chuderlawe zwykle, — co mi za chłopcy? Urzędnik gospodarczy? Afe! Szlachcic jestem, sam posesyonat, choć kapitałów tylko, to i córkę moję obywatelowi oddam jedynie.

Tak rozważał pan rządzca wieczorami, w których brak gości przymuszał do myślenia. Po długim rozmyśle zgodził się w końcu na młodego swego sąsiada, pana Dutkowskiego.

To mi zięć nielada, — mówił do żony — sprytny chłopak; liznął przecie i trochę nauki, po świecie się włóczył, więc i usta otworzyć potrafi, majątek ma śliczny, ba, i pański, a czwórkę anglików, to i proszę widzieć.

Pan rządzca wygadywał na czwórki i powozy, a jednak słabość miał do nich, — panów nie lubił, a przecież Dutkowskiego wybrał, który choć panem nie był, ale już w drodze do państwa. Przed ludźmi wychwalał Dutkowskiego, jako dobrego gospodarza, przed sobą powtarzał, że ojcowie przyszłego zięcia urzędnikami byli, a powtarzał dość często, aby zaspokoić sumienie demokratyczne.

— Furda, zakonkludował ojciec — jest mąż dla Wandy.

Kiedy okolica i ojciec Wandę się zajmowali, ona sama zdawała się nie widzieć ani konkurentów, ani ojca znaków zachęcających.

Sponiewierana przez ojca, choć częstokroć bez zamiaru, tuliła się do matki, zamykała częściej w pokoiku między książkami, przy fortepianie — stawała się cichszą z dniem każdym, ożywiając się tylko obok Artura.

— Dziwna dziewczyna! — mówiła matka.

— Grymasi! mruzczał ojciec.

— Jedyńy Artur zaczął się domyślać powodu téj zmiany, ale im więcej przychodził do przekonania, że od niego za leży szczęście dziewczyny, tym częściej unikał Wandy.

Czemu? Dowiemy się później.

Tymczasem nie próżnowała i pani Kunegunda.

Wszystkie pragnienia jēj życia zbiegły się w jednym punkcie, wszystkie marzenia około jednego skupiły się celu

— chciała męża. I nie dziw! Przeznaczeniem kobiety jest dom własny, w którymby królowała, ścieląc męża ścieżkę uśmiechem i pieśczołą, a przeznaczenie to nie wymiera w człowieku, choć szron starości przypruży skroń zwiędłą. Nie tu śmieśczość starych panien, bo, co naturalne, śmieśzmem być nie może, ale w środkach i środeczkach, których używają, aby dojść do celu. Idą na przebój, nie zważając na żadne przeszkody, jak dymem prochu oślepiony żołnierz wśród bitwy.

Pani Kunegunda nie wiele miała zajęcia w dworku pana rządcy. Na łaskawym będąc chlebie, nie potrzebowała zajmować się ani gospodarstwem, ani kuchnią, więc trzeba było dzień cały jakoś przepędzić. Ale jak?

Otóż siadywała przed oknem z książką do nabożeństwa, a pomodliwszy się nie wiele, marzyła, czoło wsparłszy na rękę.

Ten Norbert, ten Norbert!

Włazł jakoś w głowę, i ani rusz wyjść!

— Bo, co prawda, nieszpety z niego chłopak, a przy tém wykształcony i taki pański, jak gdyby matka jego kasztelanką była. Któż tam z resztą wie? Małoż to dzieci starych rodów poniewiera się bez prawa do nazwiska właściwego, małoż podrzutków i sierót?

Tak jest — inaczej być nie może.

I uwierzyła pani Kunegunda, przekonała się raczej sama, że Norbert podrzutkiem być musi, bo inaczej nie poruszały się, jak pan.

— Z czém się człek nie urodzi, tego się i nie nauczy — mówiła arystokratka.

Ten skrupuł byłby więc usuniętym, ale druga przeszkoda stała dotąd uparcie. Mimo starań ze strony pani Kunegundy, ośmielających ubogiego chłopca do wyznania, Artur milczał, a nawet widocznie unikał spotkania się z panną starą, której plany przeniknął już w kilka dni po przyjeździe do Białej.

Zbyt szlachetny, aby obrazić i najśmięszniejsze stworzenie, nie chciał jój dać sposobności do zbliżenia się poufałego, a pani Kunegunda sądziła, że się młodzieniec po-



długo urodzenia lęka stosunków z córą starego rodu. I tu właśnie śmieszność! Zacietrzewiona stara panna nie uważa, że się narzuca, i że każdy eksperymentów zbyt znanych łatwo dojrzy, bo zdaje się jej koniecznie, że miłość winna być wzajemną.

— Tak, nie ma śmiałości, zanadto skromny, — mówiła sobie pani Kunegunda — trzeba go ośmielić, spoufalić. Poświęcę dla niego tradycje mego rodu, blask imienia wiekowego, a wzamian chcę tylko miłości gorącej.

Dziwny Artur! Nie chciał zrozumieć olbrzymiego poświęcenia za tak małą cenę...

Pani Kunegunda odbywała znów taką siestę słodką, kiedy do pokoju wszedł Artur, szukając czegoś.

Ha! Teraz do szturmowania pójść trzeba — pomyślała sobie panna.

Artur chciał wyjść, ale wrócił się, wezwany zaproszeniem pani Kunegundy. Nie mogąc się wycofać, usiadł obok niej.

Siostra księża poprawiła się na kanapie, usta do słodkiego układając uśmiechu. Ano — pierwszy atak się rozpoczyna.

— Panu przykro pewno w stanowisku jego chwilowym? — szepnęła panna.

— Wcale nie, pani; — odparł Artur — jest to praca, a jakakolwiek ona, zawsze mnie do celu prowadzi.

— Ten cel daleki pewno, panie Arturze?

— Blizki bardzo. Na Wielkanoc myślę wracać do Berlina na egzamina.

— A potem?

Będę lekarzem.

— A jako lekarz?

— Poniosę ubóstwu radę chętną i pociechy słowo, sierotom dłoń podam miękka, aby ocierała łzy i tak pomogę nieść ciężar życia tym, dla których ono gorzką rzeczą było.

— Dla siebie nie pan nie marzysz?



— Chwilowo nic, pani, bo ubogi jestem, a obowiązki mam dla .. no ... dla przodków...

— Przecież wolno — szepnęła panna — myśleć, choćby tylko o własném gniazdku.

— Mnie nie wolno.

— Ptaszek maleńki weseli się piskletami, — mówiła panna — cieszy się chatką własną, a pan nie miałbyś pragnąć tego szczęścia?

— Pragnąć wolno. Od pragnienia jednak do wypełnienia daleko bardzo. Stoi tam w drodze rozum, stoją zasady, które stanowią życie człowieka, a człowiek nie na to wolną ma wolę, aby szedł za pragnieniem serca, za instynktem, tylko na to, aby rozumu słuchał.

— Srogi pan jesteś dla siebie — rzekła panna.

Zwróciła oko na Artura ciepło, pożądliwie, on jednak odwrócił się od tego wzroku, bo zaczął gardzić głupstwem starój zalotnicy.

Wziął kapelusz i wybiegł na dwór, do ogrodu, aby zatrząć widokiem przyrody przykre wrażenie, które dotknąć musi każdego wyższego człowieka, ilekroć się zejdzie ze śmiešnością.

— Mali, bardzo mali są ludzie w osobistych zabiegach swoich — mówił z cicha.

Rozmowa pani Kunegundy potrafiła serce młodzieńca, przebudzając tam uspięne już marzenia o miłości, o domku własnym; przypomniała mu, że i on był człowiekiem i prawo miał do szczęścia.

Pragnął samotności, ciszy usypiającej przyrody, aby ten wielki spokój własnej duszy jego równowagę wrócił, serce ukołysał, w którym zakłęte mary wojować zaczęły. Milczcie, — mówił — a zamilknąć nie chciały szatanki małe, uśmiechnione, bo synowi niewiasty nie przystała sama wielkość; przymieszki mu potrzeba ziemskich rozkoszy i cierpień, ludzkiego szczęścia i łez.

— A życie czém tobie? — wołał człowiek w Arturze. Pracą li tylko, cierpieniem bez łyzy, trudem bez wytchnienia? Śmieszny, uparty! Rozkosz chwytaj ziemską i trzymaj silnie, abyś nie żałował kiedyś, żeś nigdy człowiekiem nie był.

W ogrodzie drzewa stały ciche, odwieczne — wiatr jesienny tańczył na pustych zagonach.

— Chwytaj rozkosz, póki młodość służy, póki serce ciepłe, bo czas mija, a po wiośnie, po lata złotych promieniach szron przypruszy skroń twoją, zima w sercu zasiądzie i po wszystkiem już, po wszystkiem, szeptały listki porzucone.

Artur szedł pustą aleją ogrodu — raz, drugi — potem trzeci. Zbliżył się mimowolnie do dworku i pod oknami stanął.

Jasne światło biło z okien, jaśniejsze melodye przenikały szyby, do ucha płynąc Artura, a ztamtąd dalej aż do serca tajników, gdzie poruszyły pokrewne struny, wabiąc z nich pieśń miękką.

Artur do okna się zbliżył — spojrzął.

Przed pianinem siedziała Wanda, duchowo piękna, bo dusza dziewicy zamieniła się w melodyą, uszła na skrzydłach bożkiego głosu, który z pod drżącój wypływał ręki — to cichy, to potężny, rzewny, albo wesoły.

Artur wpatrzył się, wsłuchał.

Wanda uczuła pewnie zwrócone na siebie oko, bo urwała nagle pieśń tęsknoty dziewiczej i główkę wsparszy na ramieniu, słuchała uchodzącego echa rozbrzmiałych strun.

Siedziała pochylona, owiana tęsknotą siedemnastej wiosny, rumiana przecuciem nieznanego szczęścia. Marzyła o czémś, a marzenie słodkie być musiało, bo usta drobne złożyły się w ten uśmiech tęskny i rzewny razem, swobodny i smutny, z jakim serce człowieka wita albo żegna najdroższe uczucia. Śnać nie czyste być musi i największe śmiertelnika szczęście, kiedy zawsze i zawsze z uśmiechem smutnym witać je trzeba.

Artur zapomniał siebie i widział tylko Wandę i podsłuchiwał spowiedź serca dziewczęcego, która stała na twarzy rozmarzonój, i z ust półrozchylonych, uśmiechniętych szeptała.

— Do kogo się uśmiecha? — pomyślał, a w sercu uczuł lekkie drzenie, przypominając sobie wszystkie drobne oznaki przywiązania. Do kogo się uśmiecha? — powtórzył.

— O, ja niepoprawny, — rzekł, niepoprawny zawsze! Przychódź szybko, geniuszu życia mego, zasłoń oczy duszy, aby nie czytały w pięknej twarzy wróżby ziemskiego szczęścia. Przychódź, przychódź, zbrojny duchu!

Oko Artura pobiegło na wieś ubogą, cichą i przyszedł duch zbrojny.

— Minęła słabość, — szepnął — znów sobą jestem. Człowiek bardzo, bardzo ułomny!

— Gdzież pan siedzi, do trzysta djabłów? — zapytał rządzca wchodzącego Artura.

— Chodziłem po ogrodzie. —

— Po księżycu, po księżycu, he? — mówił pan rządzca.

— Nie, panie, — odparł Artur — po księżycu chodzić nie mogłem, bo go dziś nie ma na niebie.

— Już dobrze, panie kawalerze, bardzo dobrze. Przecież i człowiek był młodym.

— Ziemiaki nie zmarły panu w kopcu? — zapytał Artur.

— Eh, gdzież tam; cieplej im, niż nam.

Artur usiadł przy stole, sposobiąc się do gawędki zwykłej, ominęła go jednak, bo Wanda, która weszła w tej chwili do saloniku, odwróciła uwagę gospodarza.

— A ty, — rzekł pan rządzca — gdzie znów siedzisz?

— Byłam u siebie, tatko!

— U siebie, zamiast ojca bawić, który ciebie dzieckiem pieścił, potem do szkół posyłał, grube płacąc pieniądze. To i głupstwo! Gdybym cię lepiej od dziecka był zajął gospodarstwem, kuchnią, kurnikiem, możebyś więcej szanowała starego ojca.

— Tatko, zmiłuj się, przecież i teraz ciebie kocham — odparła Wanda.

— Gadaj sobie, a ja nie wierzę. Już to książki przewróciły ci w głowie, przewróciły, rybko, ale ja odwrócę — ot, i będzie znów dobrze, choćym użyć miał nahajki, jak dawniej, bo Dutkowski gosposi potrzebuje, nie zaś sawantki.

— Ojcze, zawołała Wanda, a w jeduém tém słowie zarżała cała dusza dziewczyny, — przeleżała, obrażona.



Artur oko odwrócił od przykrój sceny, której rubaszność szarpnęła go za serce; pan rządca zaśmiał się ordynaryjnie, jakby po zwyczajnym dowcipie. Nie uczuł biędny, nie zrozumiał, jak głęboko zranił serce córki, nie pojął, że takie dowcipy odstręczyć mogą na zawsze żonę i dziecko wrażliwsze. Prawda! Książki przewróciły w głowie córce, oj to, przewróciły, bo była inną ta głowa, i serce nawet inne i wszystko inne.

— Byłem dziś u proboszcza z wizytą — skłamał Artur, — pragnąc odwrócić uwagę ojca od córki.

— U proboszcza? Proszę. Cóż słyhać u szambelana? — pytał pan rządca ciekawie.

— Opowiem panu.

Wanda odwróciła się szybko ku drzwiom, Arturowi posyłając podziękii wzrok za przysługę rozmyślną, choć nie rozumianą przez ojca.

— Proboszcz przyjął mnie grzecznie bardzo, — mówił Artur — zwyczajnie pan z panów.

— A tak, pan z panów — mruknął pan rządca.

— Mówiliśmy o tém i owem, jak zwykle z podobnymi ludźmi, którzy i w rozmowie zabawy tylko pragną, a nigdy nauki.

— Prawda, prawda, to pan jaśnie ten szambelan, i gdyby nie to, byłby może bardzo przyjemnym księżykiem. Ale gwóźdz w głowie — ba — arystokrata, to głupstwo — mruknął pan rządca.

— Szambelan ruiną, panie, — mówił Artur — rumowiskiem, nic więcéj. Przykro patrzeć na ludzi takich, smutno, bardzo smutno, a jednak widok rozwalisk, pleśnią pokrytych, zgnilizną cuchnących i nauką być może dla tych, którzy i w prochach wskazówek szukają, przez opatrność podawanych. Szambelan od przodków wady przejął wszelkie, głupstwa tylko, nie przejąwszy się cnotami rycerzy, którzy nazwisko świetne pracą, krwią wywalczyli, przekazując je dzieciom razem z obowiązkiem dalszej ofiary z życia i dalszych poświęceń. Ale synowie i wnuki omylili się, jak zwykle, — ot i powstał rodzaj ludzi, nazywających się arystokratami, którym się koniecznie uwi-



działo, że za ojców zasługi cały świat przed nimi czołem bić winien, cały świat na ich stworzony służbę. Jest jednak logika w kolejach historii, choć jęj w ludziach nie ma; jest wielka i ona to wytrąca z rąk berło wszechwładne tym, którzy je oddawna dla ozdoby noszą jedynie, zdięra purpurę z ramion niezdolnych dźwignąć już zbroję. Smutna to prawda, ale prawda jednak! Nazywają się arystokratami, a są tylko śmiesznęm odbiciem zdrobniałego pojęcia, które w każdym panuje stworzeniu, mniej w jednęm, więcej w drugięm, bo pragnienie wyniesienia się wszędzie jest i zawsze będzie. Duch wyższy, praca, ofiara zamieniają wrodzone to uczucie w cnotę — nieuctwo, lenistwo i głępotę tworzą przesąd śmieszny, spotykany wszędzie, wśród nędy i dostatku, w pałacu i chatce. Prawdziwy arystokrata godzien jest miłości swego ludu — prawdziwym arystokratą i ja być pragnę, panie.

Pan rządzca słucał z uwagą, choć nie rozumiał słów Artura. Po ostatnięm zdaniu drgnął dopięro, podnosząc się żywo.

— A co, nie mówięm? — rzekł głośno — Pan arystokratą? Z przeproszeniem pana, ale Norbert jakiś — eh! — za pozwoleniem pana.

Artur uśmiechnął się, poznawszy, że za wiele mówił, a nadto językiem niezrozumiałym dla pana rządzcy, który chodził po szaloniku, mruzcąc:

— Proszę, proszę, lada hołysz. Książki głępie tworzą mózgownice! Przecięz już biblia święta mówi, że na obraz i podobieństwo swoje Bóg stworzył ludzi wszystkich — tak na obraz i podobieństwo swoje, a tu lada hołysz o arystokracji rozprawia, jak gdyby się rodził szlachicem. I to ma być Polska? Furda — równość, koniecznie równość!

Po tym monologu tak głośnym, że Artur każde mógł pochwycić słowo, podszedł pan rządzca do okna i zasłoneę podniósłszy na dziedziniec wyrzał. Było cięmno, ale wprawne oko gospodarza dostrzegło fornala, niosącego snopek słomy ze stodoły do stajni, a snopek wydawał się panu rządzcy zbyt wielkim.

— Walek — krzyknął przez okno — wróć-że mi tę słomę do stodoły, hultaju! Będiesz w zimie gliną słał pewno, albo co? Żeby ciebie siarczyste zabiły pioruny, kanalio!

Zamknął okno i kończył przechadzkę po saloniku. „Cham zawsze cham, złodziej zawsze, przeklęte plemię“ — mrużąc.

Wanda wybiegła tymczasem na ogród pod lipy, ocieniające drzwi pałacowe, gdzie się zwykle schroniła przez ojca despotyczną rubaszością.

Przybyła ona w dwa tygodnie przed Artura przyjazdem do Białej, z pensyi wracając, w której lat ośm spędziła.

Lat ośm, strawionych nad książką, w towarzystwie ludzi wykształconych, uszlachetnionych nauką, rozwinęło w dziewczynie wrażliwej delikatność niewieścią, zaostrzyło oko na wszystko, co nie równało się obejściu, do którego przywykła. Wanda polubiła książkę, tych raczej, co z kart białych z poza grobu do serc żywych przemawiają płomienném jeszcze słowem. Wróciła do domu i nie trudno było dziewczynie wykształconej zrozumieć, że między nią a ojcem stanęło życie z innych pojęć, innych pragnień złożone, zgoła — inny człowiek.

Zrozumiała to Wanda i zasmuciła się, bo wszakże ojciec zawsze był ojcem, a trudno kochać, szanować kogoś, którego słowo, zdanie każde śmieszném się wyda wyższemu duchowi. Wiedziała o tém i właśnie ta samowiedza rzuciła pierwsze cienie na bladą jęj twarzyczkę, pierwszą łzę skropiła na długich rzęsach. Pan rządca napędził córkę już w dniu pierwszym do gospodarstwa, przydzielając jęj sklep i kurnik, prawiąc bezustannie, aby wybiła sobie z głowy książkę i fortepian, aby zamieniła „te graty“ zbytkowne na ściérkę i garnek. Nie wiedział pocziwiec, że kto się raz napił téj słodkiej trucizny, która się nauką zowie, pragnienie czuje bezustanne, nie rozumiał, że duchowe życie, potrzeby serca, stają się w końcu koniecznemi, więcéj nawet, niż ciała pokarmy.

Przed Wandy okiem rozeszła się ściérka szara, daleka. Ojca rubaszość, częstokroć ordynaryjne obejście, sprzykrzyło dziewczynie już w dniach pierwszych pobyt w rodzicielskim domu i tęsknie wróciła się myślą w przeszłość ciłą, szczęśliwą.

Stanął w téj chwili Artur przed nią, smutny a silny, ubogi a imponujący tym wszystkim, którzy urągali słabszemu, — stanął przed nią cichy pracownik, a był tak dziwnie podobny do wypieszczonego ideału dziewczyny. I stało się! Wanda pokochała Artura miłością pierwszą, jedyną, i już życia losy złączyły się ze łąką i uśmiechem człowieka, który nie zdawał się widzieć, przeczuwać nawet bijącego dla siebie serca.

Było to przykro, bardzo przykro!

— Ciężko, ciężko! — szeptała Wanda pod lip altanką, kryjąc twarz w dłoni. Mężczyzną nie była, aby śmiałym rzutem otrząść ze siebie władzę ojca, która gnioła dotkliwie, młodzieńcem nie była, aby przed ukochanym ukłęknąć i zawołać: „kochaj mnie, Arturze.“ A ojciec nie zmieniał się, a kochanek zimny był zawsze, obojętny.

Tymczasem nastawał przez ojca wybrany konkurent coraz natarczywiej. Był to młody obywatel z sąsiedztwa, dziedzic wioski nie wielkiej, ale zabudowanej dobrze i donośnej. Wziął ją pan Dutkowski po ojcu, który służył na okolicę jako dobry gospodarz i życie całe w kapocie chodził szarzej, ziemniaki z solą jadał, aby dzieciom przysporzyć majątku. Pan syn zaczął sobie po śmierci rodzica hulać po troszę, ale rychło się opamiętawszy, zasiadł na ziemi i wszedł w ślady ojca. Podróżował nieco, chodził też do szkół, tu i owdzie bywał, a że niebrzydki był i majątny, polubiły go panny okoliczne. Samo się przez się rozumie, że stracił łaskę wszystkich matek, ciotek i starych panien, skoro się tylko zaczął starać o Wandę, bo kobiety dobre, dopóki nadzieję mają, że ten lub ów do nich się zbliży w zamiarach „poważniejszych.“

Jużci dowiedziano się w okolicy, że ojcowie Dutkowskiego ekonomami byli, on sam zaś próżnym, zarozumiałym dorobkiewiczem; panny mające bębenek w herbie, lub szereg przodków na ścianach salonu, sznurowały usteczka, szepcząc z pogardą: syn ekonomski! I tak to zawsze bywa!...

Nie wiele troszczył się o to Dutkowski, gdyż się nie na żarty w Wandzie rozkochał. Dwa miesiące jeździł, aż narreszcie postanowił zakończyć konkury.



Jakoż w dzień jasny Lutego do Białej na obiad przyjechał i pana rządzcę o rękę Wandy poprosił.

Pan rządzca uściskał kochanego sąsiada, upoił go z radości, i córkę mu przyrzekł.

— Trzebaby się z panną Wandą rozmówić — rzekł Dutkowski, pociągając z kieliszka.

— Choć właściwie nie potrzeba, bo to smarkacz jeszcze, — odparł rządzca — ale możesz jej sam wolę moje oświadczyć, jeśli chcesz.

— Gdzież ona? — zapytał Dutkowski.

— Zdaje mi się, że z tym mądralą, z guwernerem, rozprawia w saloniku o wielkich rzeczach.

— Nie lękasz się pan, zostawiając ich samych?

— Cóż znowu?

— No! Nie brzydki ten Norbert i nie głupi, co prawda.

— Ale łyk! Jezu miły! Nie przypuścisz przecież, aby się Wanda miała w takim hołyszu rozkochać. Jeszcze czego... śmieszny jesteś, sąsiedzie.

— Pójdę do niej.

— I owszem.

Wanda była rzeczywiście z Arturem w saloniku. Po obiedzie siadywali zwykle razem, czytając lub grając, czego pan rządzca nie wzbraniał, gdyż nie pomyślał nawet, aby serce szlachcianki rozgorzeć mogło miłością dla jakiegoś przybłądy.

Kiedy Dutkowski wszedł do pokoju, drgnął Artur, bo choć nie chciał mieć praw żadnych do Wandy, uczuł jednak ból w sercu na myśl samę, że ta dziewczyna mogła być za chwilę własnością innego.

— Chyba ją kocham! — mruknął. — Nie, to być nie może; szaleństwem by to było w mojem położeniu. — Dutkowski zbliżył się do Wandy z rozpiętym frakiem, z twarzą czerwoną, i usta otworzył, ale milczał.

— Napił się wina i zaszumiało w głowie — pomyślał Artur.

Dutkowski bełkotać coś zaczął, machać rękoma, aż w końcu padł na kolana.



— Kocham panią — zawołał.

— Ale ja pana nie kocham — odparła Wanda spokojnie.

Artur odetchnął.

— Ej, to nie, to głupstwo, — dowodził Dutkowski — to grymasy tylko, pani; — zgrabny przecież jestem, szykowny chłopiec.

Z kolan się podniósł i przypomniawszy sobie, jak w podobnych razach postępował z pokojówkami, pochwycił Wandę w połówę.

— Ratunku! — krzyknęła Wanda.

W tej chwili spadła ręka na miękki policzek eleganta.

Dutkowski puścił dziewczynę i odwrócił się przełękły.

Przed nim stał Artur spokojny, chowający za wylot tużurka rękę, która ukarała pijanego zuchwalca.

Dutkowski wytrząsnął błyskawicą.

— Pan? — zawołał.

— Ja — odparł Artur.

— Ty, ty hołysz, odważyłeś się? — krzyknął Dutkowski — ty, łyku podły?

— Milcz dzieciaku, — mówił Artur wolno — milcz, abym raz drugi nie potrzebował otłuścić ręki na pulchnej twarzyczce twojej.

— A, to już za nadto! Kijmi obić cię każę, śmiałku, — wrzasnął Dutkowski, i rękę podniósł, ale ręka upadła bezwładnie, dotknięta wzrokiem Artura.

— Świat się przewraca, świat się przewraca, — wołał elegant, i rzuciwszy Arturovi groźbę i klątwę, popędził aleą do dworku.

— I cóż? — pytał pan rządca wbiegającego eleganta. Łatwo ci poszło?

— Milion djabłów! — wołał Dutkowski — twój guwerner, ten łyk...

— Cóż znów guwerner zrobił?

— Wystaw sobie, sąsiedzie...

— Mówże do kroćset....

— W twarz mnie uderzył.

— Co? oszalałeś? He? oszalałeś?

— Jeszcze mnie policzek pali, więc oszaleć nie mogłem — wrzasnął Dutkowski.

— Eh! — żartujesz.

— Prawda, prawda!

— Ha, ha — a to coś nowego. Ga daj! Dla czego?

— Oświadczam się Wandzie, a ten nikiemnik wypada jak zbój — ot — i huk mnie. Brrrr! Taką maleńką ma bestya rękę, a jednak uderzył, aż mi się w ślepiach zaświeciło.

Pan rządzca rozśmiał się głośno.

Wszedł teraz Artur z Wandą.

Pan rządzca po szpicrut sięgnął, do Artura się zbliżył, ale nagle stanął jak słup.

Stał tam w progu człowiek, którego się lękał pan rządzca i nienawidził razem, — stał bledszy trochę, niż zwykle, z płomienném okiem, z zaciśnionemi usty. Pan rządzca szpicrut spuścił, bąknąwszy przez zęby:

— Co pan robisz, do trzysta djabłów?

— Uderzyłem w twarz tego jegomości — odparł Artur.

— Słyszysz sąsiedzie? wybuchnął Dutkowski.

— Słyszę. Dla czegoś pan gościa mego uderzył? — pytał dalej śmielszy już rządzca.

— Pan Dutkowski biegł za córką pańską, a pijany był; chciał ją gwałtem całować, — nie pozwoliłem więc — rzekł Artur.

— Wypędź go, wypędź, — wołał Dutkowski — bo inaczej ani krokiem u ciebie nie postoję.

— Prosiłabym o to — rzekła Wanda, wychodząc na środek pokoju.

— Milcz, dzieciaku, — wrzasnął pan rządzca. Pan, panie Norbert, jesteś wolnym od pierwszego, abyś wiedział, że mięszać się nie godzi przybłędzie jakiemuś w sprawy szlacheckie. Bij sobie swoich — nie sięgaj, dokąd się nie godzi takim, jak ty jegomościom.

— Panie Skrzętski, — rzekł Artur głosem drżącym, może niezadługo pożałujesz, że skrzywdziłeś uboższego, któremu niedawno jeszcze... Chciał coś powiedzieć, ale zamilkł, odwracając się twarzą do okna.

— A ty, dzieciaku głupi, — rzekł ojciec do córki — przeprosisz pana Dutkowskiego za niegrzeczność, którą mu wyrządził niepożądany twój obrońca. Jesteś od dnia dzisiejszego narzeczoną sąsiada; pocałuj go więc i kwita. Nie obrazi się przecież obelgą pierwszego z brzegu hołysza.

Wanda wyprostowała się dumnie, oko jęj błysnęło blaskiem chorobliwym, po za którym ła drżała kobięca, a z piersi podnoszących się wypłynął głos męzki prawie; — tak silny był, stanowczy.

— Zrodziłeś mnie, ojcze, — mówiła — ale dałeś mi ciało tylko, nie więcęj. Prawa nie masz rozkazywać sercu memu, bo ono do Boga, do ojczyzny i do mnie tylko należy, więc oddam je, komu zechcę. Żonę pana Dutkowskiego nie będę nigdy, nigdy.

— Milcz — zawołał, ryknął raczćj ojciec — będziesz, mówię — i szpicrut podniósł.

— Nie mogę — odparła Wanda.

— Będziesz, bo ja każę — ryknął raz drugi i bat świstnął w powietrzu.

— Ojcze! — jękła Wanda.

— Panie! — zawołał Artur, ramieniem Wandę zastawiając.

Było zapóžno.

Bat świstnął, drut owinął się koło piersi dziewczyny; — jęk cichy — potém Wanda upadła na posadzkę, a główka jęj blada osunęła się na kobierzec, a sploty włosów czarnych na piersi spłynęły.

W pokoju zrobiło się smętarnie cicho.

Artur pochylił się nad Wandą, puls jęj chwycił, ręką czoła dotknął, w ramiona ją pochwycił, do drugiego unosząc pokoju.

Błyskawicą rozbiegła się po okolicy wieść o niemilém zajściu Dutkowskiego w domu pana rządcy. Fama stugębna zaniósła ploteczkę do wszystkich dworów w okręgu



mil kilka, a powiatowi poeci urabiali z materyału świeżego legendy, balady, tragedye, jak i co potrzebne było domowi, w którym zjeść można było smaczny obiadek. Tak w dworach, w których Dutkowski poprzednio bywał, bałamucąc pаниenki — połamano kości elegantowi, strącono go ze wschodów, we wsi sąsiedniej zaś, gdzie siedziała matrona poważna, zapatrzona w przodków obrazy, pytająca każdego nowicyusza, kto go rodzi? — przetrącono łopatkę Arturowi.

— A, to śmiałek jakiś, — proszę — szeptano jednozgodnie w końcu — śmiałek na obywatela się odważył.

— Świat się kończy, przewraca.

Mieli ludzie znów o czém gadać przez kilka wieczorów. To téż opowiadano sobie przy herbatach, wieczorkach raz, drugi i trzeci. Artur stał się na tydzień bohaterem okolicy, był na ustach wszystkich kobiet, zwłaszcza ładnych i brzydkich, i pozazdrościł ubogiemu niejeden lew salonowy szybkiej a niezasłużonej sławy.

We dworku bieleckim działy się tymczasem dziwne rzeczy.

Wanda padła po ojca uderzeniu bez zmysłów, a przebudziwszy się, nie widziała nic, prócz kółek zielonych, niebieskich i czerwonych, które stawały przed oczyma czarnymi, raz dalej, drugi raz bliżej, to mniejsze, to większe; wpadła w gorączkę nerwową. Długo tajony żal do ojca, wybuch ostatni nad wyraz brutalny, różdżką zatrutą uderzył serce wykształconej kobiety, łamiąc je prawie, aż krew trysnęła z tego serca, na ustach siadając szalonymi słowy.

Ludzie do teatrów chodzą, szukając wzruszeń, łzy wabiąc z ocz odwykłych od słonej wody, ale na tragedye codziennego życia, wielkie i straszne, oka nie mają — uśmiech tylko i szyderstwo.

Jedna z takich tragedyi odgrywała się właśnie w dworku bieleckim; miała ona tytuł „walka siły brutalnej z bezbronnym duchem.“

Pan rządca, czy zrozumiał, że mógł się stać zabójcą własnego dziecka, czyli téż gniwał się jeszcze na nieposłuszeństwo smarkacza — dość, że posmutniał, apetyt stracił, wilczy niegdyś, przestał nawet gustować w preferansie.



Pan rządzca ani zrozumiał, ani gniwał się, przeczuwał tylko powód choroby, bo pod szorstką skorupą zewnętrznego obejścia było serce ciepłe, jak zwykle u ludzi podobnych. To serce mówiło ojcu, że się dotknął grubą ręką istoty węższej, wrażliwszej.

— Co mi tam, co mi tam, — mruknął nareszcie, chcąc przygłuszyć głos sumienia — kobiéce to grymasy, które przeminą i znów będzie spokój.

I naciskał czapkę na czoło, w pole wyjeżdżał, chcąc myśl rozerwać, oko ucieszyć widokiem bujnej oziminy, która rozłożyła się zielonym kobiercem, aż het daleko za kordon rosyjski.

Dziwna! Tego roku widok oziminy nie tyle bawił pana rządzcę, ile zwykle; serce nie rosło w obec kielków zapowiadających plony bogate; — czuł niepokój jakiś, który konia z pól płoszył, do domu zwracając, gdzie blada Wanda na posłaniu leżała, z głową opartą na białém ramieniu, bezławém okiem patrząca to na posadzkę, to ponad siebie.

— Furda, — mrucał pan rządzca — furda, kobiéce grymasy, przeminą.

Czemuż-bo ludzie zawsze gorszymi być pragną, niż są w rzeczywistości, czemuż-bo wołają czarną światu ukazać duszę, a śmieszna przynajmniej, przesadna — niż drgnienia szlachetnego serca, które głęboko kryją, aby ich nie dojrzało oko żadne. Ale taki już człowiek!...

— Furda, — mrucał pan rządzca — a jednak „furda“ nie było, bo lékarzy zwoził i zwoził, a każdy z Eskulapa uczniów odjeżdżał niepewny, bez świadomości choroby. Zapisywali plastry i krople, maści i pijawki, ale spojrzeć nie umieli na dno duszy zranionéj, którój się nie léczy ani plastrami, ani ziele. Podobno i lékarz równie, jak ksiądz, i pisarz psychologiem być winien, a przecież nieraz się zdarza, że kiedy rozpacz rzuca człowiekiem, smutek żre mu serce albo krew' jak upiór wypija, przywołany eskulap pochwyci za puls, dotknie się skroni i powie: pokaż język!...

Lékarstwa nic nie pomogły. Wanda nie brała ich w końcu mimo prósb ojca, wiedła tylko z dniem każdym więcej.

W tój rozpaczcy zwrócił się rządzca do Artura.

— Kto wie, — pomyślał — to czarodziej ten Norbert, może co pomoże.

Pewnego wieczora, kiedy Artur, jak zwykle, przyszedł na wieczerzę, poprosił go rządzcę, aby poszedł do Wandy i przypatrzył się jój chorobie.

— Służę — rzekł Artur.

Wszedł szybko do drugiego pokoju, stanął jednak po piérwszym już kroku, zawiany powietrzem, napełniającém miéskanie dziewicy — powietrzem, które, jak woń nieznana, dotknęło płuc młodzieńca.

Zatrzymał się, — postąpić nie mógł ku chorój, choć powiedział sobie naprzód, że tylko lékarzem tu będzie — niczém więcéj.

W środku pokoiku stół był mahoniowy, zarzucony książkami, papiérami; na stole lampa zakapturzona, słabém, drżącém światłem napełniała komnatkę, a światła blask niepewny złagodziły jeszcze cienia różowych firanek. W kącie jednym fortepian zamknięty, w drugim łóezczko, zasłonióne kotarami z błękitnego jedwabiu, a na łóezczku, na białém posłaniu leżała Wanda z rozkrytą piersią, z obnażóném ramieniem.

Wanda mówiła właśnie coś przez sen.

Wyrazy urwane płynęły z ust spalonych — wykrzyknik — czasem jęk wydobyl się z piersi, podnoszonych ciężkim oddechem.

— Idź precz — idź sobie... szeptała teraz... pójdź ode mnie, nudziarzu. — Artur idzie — Artur mój miły — pójdź sobie — Artur mnie ocali — z rąk twoich wybawi — idź już sobie. Ojczce — nie lżyj mnie — ojczce, życie dałeś mi, ojczce, a bierzesz je, bierzesz, nie lżyj mnie, nie poniewieraj.

Cicho.

Szept umilknął coraz cichszy i znów tylko ciężki słychać było oddech.

W Artura oku blysnęła łza samotna, wielka; stoczyła się wolno, niewstrzymana, przez lica płynąc pobladle.

— Artur mój, Artur — mówiła znów dziewczyna.

Artur na palcach się zbliżył — rękę podjął spuszczo-  
ną, gorącą, dłoń własną przyłożył do czoła rozpalonego i pa-  
trzył i widział, jak uśmiech wdzięczny układał usta spieczone,  
jak rozpromieniała się twarzyczka, i słyszał, jak serce zabiło  
głośniej pod kołdrą.

Wanda otworzyła w tej chwili oczy.

Artur cofał się na palcach ku drzwiom, wzrokiem obu-  
dzonej przeprowadzony.

Ciężka to była próba, ale i ta zwyciężona — mówił,  
wracając do saloniku.

— Jakże tam, panie? — zapytał rządzca, który czekał  
niecierpliwie.

— Dobrze będzie, tylko lekarzy pan nie bierz żadnych,  
— rzekł Artur — bo na chorobę panny Wandy nie ma lé-  
karstwa. Trzeba jej spokoju tylko, samotności, a zdro-  
wie wróci, choć o humorze i swobodzie duszy wątpię, bo to  
choroba moralna, panie.

— Choroba moralna? Co to za choroba — pytał pan  
rządzca.

— Trudno panu wytłómaczyć — odparł Artur — dość,  
że ciężka, gdyż nie ma na nią lekarstwa.

— To już nie rozumiem — mruknął pan rządzca.

— Trudno! Wytłómaczyć panu nie mogę, bobyś i tak  
nie pojął, więc słuchaj rady mojej, a wszystko będzie  
dobrze.

— Czart go zrozumieć, ja nie — mruczał p. rządzca.

— Trudno na to poradzić, panie Skrzętski. Nie rozu-  
miesz pan córki własnej, nie pojmujesz, że ją zabić możesz.

— To znów co było, panie? ofuknął p. rządzca.

Chciałem panu wymienić jeszcze jedno lekarstwo, które  
zwrócić może córce zdrowie.

— Mów pan, bo choć pana nie lubię, przyznaję jednak  
chętnie, że masz jasno w głowie — rzekł pan rządzca.

— I to dobre, żeś pan szczery, więc i ja będę szczé-  
rym. Jeżeli życzysz sobie, panie Skrzętski, aby córka rychléj  
wróciła do zdrowia, nie stawaj jéj często przed oczyma.

— Cóż znowu? przecież ojcem jestem.



— Smutna prawda, a jednak przyczyną jesteś choroby własnego dziecka.

— Ja? Masz-ci — zawołał pan rządzca.

— Tak — pan — odparł Artur. Serce wzięła panna Wanda od ciebie, panie Skrzętski, ciepłe serce polskie, choć się nie przyznajesz do niego życiem, ale serce córki delikatniejsze, wrażliwsze, skutkiem duchowych pokarmów, które je żywiły, a których pan nie brałeś. Zraniłeś córki twojej serce, bezwiednie może, i otóż powód choroby.

— Ja? ja? — mówił pan rządzca, za wąż się targając — mówże pan jaśniej, bo nie rozumiem, choć po polsku mówisz.

— Powiem jaśniej. Obchódź się delikatniej z córką, panie Skrzętski, bo co oset zniesie, nie wytrzyma kwiatek w cieplicy hodowany. Rób różnicę między Magdą z obory a dziewczyną wykształconą.

— Masz ci, masz ci, — mruknął pan rządzca — to pewno te książki bigosu narobiły.

— Podobno książki — rzekł Artur.

— Bodaj przepadły przekłete szpargały, sto łokci bodaj zapadły w ziemię — zawołał pan rządzca.

— Pamiętaj pan sobie to lékarstwo — rzekł Artur i wyszedł do swego pokoiku.

— Furda — mruknął pan rządzca, kiedy był sam — głupstwo, a ja osieł stary słucham takiego młokosa, zamiast mu kości połamać i za granicę wyrzucić. Zjadł kilka książek, a juźci prawi nauki starszym. Oj świat zepsuty, zepsuty! Plecie mi o sercu! Hę? Toć kobieta wiejska nie wierzy w miłość swego chłopca, jeźli jój skóry nie wygarbuje. Patrzenie, jaki mi mądry, jak salomonowe ..... — taki hołysz, przybłęda! Serce? Zwyczajnie dziewucha z twardego gatunku, za ojcem się wydała, więc uparta i kwita.

Po tym monologu zwiesił pan rządzca jednak głowę na piersi, co mu się rzadko zdarzało, czapkę na uszy zacisnął i na dziedziniec wyszedł, gdzie gwiazdy liczył, co mu się nigdy jeszcze w życiu całém nie zdarzyło.



Jak Artur przepowiedział, tak się też stało.

Po miesiącu podniosła się Wanda z łoża boleści, ale uśmiech dziewiczej swobody znikł z ust różanych, a na liściach zostały dwie brózdki głębokie, jako wieczne świadki przebytej choroby.

Oko tęskne łąą zaszło, bezustannie drżącą, skroń smutek ocenił, który już na zawsze zostanie, chyba go spłoszy ciepły powiew miłosnego pocałunku.

Jest wiele tragiki w życiu codzienném, wiele smutków niewidzianych, co żrą, jak rdzą, serca szlachetne, aż je zabija, albo zatrują na dni resztę. Liść po liściu opada z wymarzonego kwiatu żywota, głos po głosie przebrzmi z pieśni słyszanej gdzieśindziej, w młodości krajach ułudnych, a kiedy człowiek przejdzie tę ścieżkę cierniową i nad grobem stanie, najczęściej zawołać może z hiszpańską królową: ah! tanto si soffire per morire!...

Każdy biegnie w dzień jasny za chlebem powszednim, jeden tłoczy się przez drugiego, aby sięgnąć po mamonę, a nikt nie baczy, ile łez popłynęło skutkiem próżności, głupstwa i podłych zabiegów. Praw serca nikt nie rozumie, szept uczucia każdy wyszydzi, jeden tylko poeta, powieściopisarz, ów wieczny obrońca uciech niegłośnych, ale prawdziwych, podejmuje walkę z rozumem i jego dziećmi i, jeśli nie więcej, godzin kilka przyjemnych, iluzyjnych sprawia tym, którzy, lękając się dnia białego, chronią się w krainach poezyi, opromienionych półświatłem uludy i marzenia...

Czasem i lutnia brzęczy rzewniój, czasem pióro łąą zajdzie, serce twórcy zadrgnie boleśniej, skoro od kłórka spojrzy na świat boży i przypomni sobie, ile tam żywych tragedyi chodzi po bruku ulicznym — z winy głupich i podłych — przypomni sobie, ile sam bolć musiał, zanim cierpienie to skryształizowało się w postaci, w powieść...

„Greif hin in's volle Menschenleben“ mówi Goethe, a przecież przykro dotykać się brudów, tylko brudów. Być wymiataczem rynsztoków społeczeństwa, albolu grabarzem — nie bardzo przyjemna, a przecież nie zostaje nic innego polskiemu pisarzowi wśród narodu przegniloego i rozpadającego się w milionowe atomy.

Ale przepraszamy...

Wracamy do pani Kunegundy.

Ona myśli jeszcze o Arturze, choć od miesiąca do niej słowa nie przemówił.

— Jakoś to będzie, — mówi sobie — jakoś będzie, tylko zmienić trzeba taktykę.

Słyszała gdzieś pani Kunegunda, że obojętnością przywabić można kogoś niestałego. Więc dalej dąsać się niby, boczyć się, gardzić.

Cóż, kiedy Artur mimo wszystkiego schwycić się nie dał, bo dusza jego w inne biegła strony, w świat daleki, gdzieby nie było Wandy bladłej, piękniejszej po chorobie, bo uduchownionej moralnym cierpieniem.

Czuł, że nie wytrzyma dłużej, że gmach, stawiany przez lat kilka, runąć musi przed czarem miłości, przed potęgą smutnego wzroku, że cichy szept dziewczyny rozwieje chmury na jego czole.

Dzień odjazdu nadszedł nareszcie; szczęsny dzień, oczekiwany z tęsknotą.

Jutro miał wyjeżdżać, miał się wyrwać z tych sięci złotych, wątłych na pozór a potężnych jednak. I to jutro powitał radośnie, bo czuł, że chwilka jeszcze, a upadnie, bo zrozumiał, że niewieścieje, miękknie, słabnie, że traci hart duszy, rozplywającą się w marzeniach.

— Precz ztąd — wołał — precz ztąd! Tęsknota nawróci nieraz myśl lotną do cichego kąta, ale wola zwycięży tęsknotę i sobą znów będę, sobą tylko, ale precz ztąd.

Potęzna-bo miłość, jeśli pochwyti serce wielkie, z serca czystego wyszedzsy, ale potężniejsza człowieka wola, miłość ojczyzny, ludzkości.

To półrocze ciche na pozór było dla Artura walką straszną między rozumem a sercem, między głosem geniuszu, a wołaniem ludzkiej natury; wyszedł z tej walki zwycięzko, choć przypłacił tryumf mnóstwem nocy nieprzespanych.

Dziś wiedział jasno, czego pragnął, czego chciał.

Artur był arystokratą!

Na dnie duszy jego spoczywała pamięć lat dziecinnych, spędzonych na aksamitnych wysłaniach ojcowskiego pałacu, a cios, który spotkał młodzieńca, kiedy żydowstwo rozebrało dziedzictwo Uchańskich, nie złamał go, żal jednak zostawił.

Nie dla siebie żałował majątku utraty, dla marzeń swoich tylko, których setnej części wypełnić nie mógł bez środków wszechwładnych. On nosił w sercu pamięć wielkich czynów rodziny swojej, przeniósł się prawdą starorzymską „nobilitas obligat,” więc żyć chciał, żyć koniecznie ofiarą, pracą, przewodniczyć pragnął tłumowi ludu, którego ukochał, jak ojciec słabe miłuje dziecko, mędrzec naiwnego prostaczka.

Zrozumiał, że kto prowadzić chce innych, sam wnieść się powinien miłością, cierpieniem ludzkości, powinien czystym, poświęconym do tej wielkiej przystąpić ofiary, którą ludzkie gorętszego serca... pracą dla narodu, dla ludzkości zowią. Wiedział dalej, że siła brutalna materialnej przemocy długo panią być nie może, że duch do berła wraca zawsze, duch płonący pragnieniem zbliżenia się do pierwowzoru bożkiego, choć go już tylekroć sponiewierano. Utrata majątku zmieniła oczywiście plany Artura, bo mienie nie jest jedyną potęgą, ale zawsze środkiem, który w ręku człowieka, poświęcającego swoje stanowisko, zamienia się łatwo w źródło dobroczynne. Utrata tego majątku zmieniła plany, bo dziś już własna tylko wartość wynieść go mogła i postawić tam, gdzie pragnął. Człowiek ubogi, a myśli wyżej, odmówić sobie musi częstokroć wszystkiego ziemskiego szczęścia, zamknąć serce, aby nie wcisnęło się weń uczucie ludzkie, bo ono osłabia siły poświęcającego się ducha, związuje ręce, pragnące się podnieść do błogosławieństwa.

Z takim przekonaniem przyszedł Artur do Białej i to właśnie osamotnienie zrodziło uśmiech niewymownie smutny, który jak błędny ognik igrał na zamkniętych ustach; — uchodził, błąkał się, wracał jednak zawsze, jakby zastygłym na wieki rysem.



Ale człowiek, choć najwyższy, człowiekiem zawsze, i wszelką ofiarę człowieczeństwa swego, wszelkie wyniesienie się ponad ludzkie uczucie — nie łatwo przychodzi, tak sobie mimochodem; tylko walką się zdobywa, częstokroć nie-szczęsną.

Taką walką była dla Artura miłość do Wandy — pierwsza prawdziwa ludzka miłość, uczucie codzienne, jak świat stare, a w skutkach często śmiertelne.

Artur nie mógł kochać kobiety jednój, bo dom, rodzina, oplata ręce, kulą się wije przy nodze — i upada orzeł lotny, i połamie sobie skrzydła, a życia resztę przewlecze z samowiedzą niespełnionego posłannictwa. Płacz dziecka własnego, które o chleb prosi, łza żony dobrej — to łamie i najsilniejsze duchy, a Artur ubogi był, a dzieci byłyby jeszcze uboższe.

Nie, nie — odwróciłby się w grobie trup jego, gdyby dziecko Uchańskich żebranią się zwałało.

To była walka, czyściec duchowy, z którego Artur wyszedł zwycięzko, z wyrobioną już na życie dalsze myślą przewodnią. Wiedział teraz, że obowiązek wyższym jest od wszelkich namiętności, że ofiara prawdziwym ideałem, godnym męża usiłowań.

Oczywista, że myśl taka nie pozwalała mu dłużej pozostać w Białej, raz dla tego, aby namiętności nie podsycać słowem i oka promieniem, potem i dla dziewczyny samój, której Artura twarz smutna, codziennie widziana, pewno nie przyczyniała swobodnej myśli.

Ten był powód, dla którego Artur dzień wyjazdu powitał radośnie.

Tymczasem i stosunek jego do chlebodawcy, do całego nawet domu, stał się nieznośny.

Pa rządca gniewał się, że nie miał siły skarcić zachwalca, który się nie lękał nikogo. Gniewał się, a ulegał jednak człowiekowi, którego wyższość przeczuwał instynktem, choć jęj przyznać nie mógł, ani chciał.

Był to charakter dziwny, ten charakter pana rządcy.

Składał się z samych przeciwnych czynników, z których każdy kłamał zadawał pierwszemu.



Pan rządcza był z natury poczciwym, serdecznym, jak każdy Słowianin, rubasznosc jednak i ta brutalna zarozumialosc pewnego siebie czlowieka nicowala porywy cieplejszego serca; byl lagodny czasem dla ludu swego, to znów nieludzki, i tak zawsze.

Trudno studyowac takie charaktery mieszane, a jednak konieczna, bo są one w Polsce nie odosobnione, ale typem całej klasy mniejszych gospodarzy, którzy szlachetnych instynktów, wziętych od matki przyrody, od szczepu słowiańskiego, nie rozwinęli nauką, brzydząc się książką więcej, niż frakiem, nie uznając żadnej powagi, prócz tej, że „tak bywało dawniej.“ Ztąd powstają te niekonsekwentne mieszaniny, złożone ze szlachetnych porywów i śmieszności, z wad narodowych i zkadınad przejmowanych. Brak światła, brak uduchownienia żywota wśród szeregu gospodarzy mniejszych tym więcej uderza, im mniej ci ludzie pociągu mają do pracy umysłowej, choć zwykle o wartości nauki rozprawiać umieją. I tu znów niekonsekwencja; ale więcej ich jeszcze. Ztąd powstała i ta śmieszność upatrywania w każdym, wywyższonym przez los człowieku, arystokracji, tam nawet, gdzie jej nigdy nie było, choćby dla tego tylko, że ktoś drugi grzeczniej się skłonił, zgrabniej nogę postawił, słów kilka francuzkich wymówił. Gdyby śmieszności te były nieszkodliwe, — niechby sobie i były; ale niestety głupstwo częstszą przyczyną zbrodni i nieszczęścia, aniżeli czarna myśl, spłodzona w tajnikach szatańskiego ducha!..

Pan rządcza nienawidził Artura dla tego, że widział w guwernerze swoim salonowca, mówiącego kilkoma językami, że mu ten hołysz imponował wyższością ducha, a Polak nie lubi, aby mu ktoś imponował, bo co głowa to rozum. A jednak przyznawał pan rządcza arystokracji jasną głowę, poczihu nawet zazdrościł mu ruchów eleganckich, i pewności wystąpienia.

Pan rządcza nie lubił Artura, nie lubił więcej jeszcze, że ten wyższy człowiek nazywa się gminnie jakoś. Gdyby Artur był przed nim z prawdziwem stanął nazwiskiem, byłby go uszanował, do kolan się schylił jaśnie pana, a jednak u siebie w kółku zaufanem, powiedziała by:

„Arystokrata, ot, jak się puszy, patrzcie, jaki Pan.“  
I tak zawsze u nas.

Tak źle i tak niedobrze — szukaj teraz. — Widział to Artur wszystko.

Jutro miał wyjeżdżać!

Dzień cały poświęcił pożegnaniu wieśniaków, którzy pokochali panicza dobrego. Rozplakały się baby, dzieciaki rozbeczały, wieszając się u rąk panoczka, który dla każdego z nich miał zawsze obwarzanek, cukierek, albo obrazek.

Był jeszcze jeden człowiek, przed którym Artur uchodził.

Już od dwóch miesięcy osiadł w najbliższém sąsiedztwie, bo na kolonii, odległej o pół mili tylko od Białej, młody mechanik, który zakupiwszy kilka skib ziemi, założył młyn parowy na wysoką skalę.

Był to Kaczmarkowski; ten sam, który Artura żegnał na dworcu kolei wschodniej w Berlinie.

Młody mechanik rychło zawarł w okolicy stosunki, składając wszędzie wizyty, a wszędzie przyjmowany był grzecznie, bo pieniędzy miał huk, kawalerem był, nadto liczył się do wykształconych ludzi. Zjawienie się Polaka przemysłowca narobiło wiele hałasu, i już ciotki i mamunie plany robiły, czekając, rychło zajedzie młody bogacz? Artur słyszał wiele o mechaniku od rządcy, od proboszcza, od wszystkich, bo Kaczmarkowski był na porządku dziennym przez czas niejakiś przy herbatach i wieczorkach. Codziennie oczekiwano go w Białej, czego Artur nie pragnął, wiedząc, że przyjsć by musiało do odkrycia. Arystokrata lękał się urągówisk wszystkich tych ludzi, i słusznie, bo świetność miniona bywa zwykle przedmiotem pośmiewiska, żartów pokątnych, rzadko współczucia. Tylko szlachetne serca łzę wyleją na ruinę, jakkolwiek ona, a na świecie wątrób więcej, niż serc. Zresztą samemu trzeba być ruiną, aby gruzy pojąć...

Zdarzyło się przypadkowo, że wigilia wyjazdu Artura była dniem imienin pana rządcy.

Dzień był jasny, marcowy, a po dniu pięknym spłynął z ciemnobłękitnej nieba kopuły wieczór cichy; księżyc srebrny posuwał się spokojnie, zawsze uśmiechniony druh wszystkich tych, którym samotność ulgę przynosi, albo szczęście.

Ogołoczone drzew gałęzie kołysały się wśród szméro pieścącego wiatru, stworzenie całe śniło ciepło, wonno, oddychając rychłej wiosny przeczuciem.

Już dworek pana rządcy jaśniał blaskiem lamp kilku, brzęczał głosami najbliższych sąsiadów.

Bryczki i powozy zajeżdżały, turkotem każdorazowym wywołując pana rządcę, który w odświeżonym ubraniu, z odświeżoną grzecznością na twarzy, szeroko, serdecznie uśmiechnionój, gości witał, jednych pocałunkiem głośnym, drugich ukłonem itd. itd.

Artura nie było w saloniku.

Nie chciał twarzą bladą psuć zabawy ludziom, którym tak dobrze było przy stole, zastawionym potrawami, przy brzęku kieliszków, szeleście kart francuzkich. Z założonemi na tył rękoma chodził w alei ogrodowej, licząc gwiazdy niebieskie, przysłuchując się modłom usypiającej przyrody. Rozumiał on drzew modlitwę; daleki szum, bijących o brzeg, fal jeziora uderzał serce jego, które tak bardzo, tak mocno wszystko wielkie, wzniosłe kochało. Stanał w alei, o topól wsparty stuletnią, z głową zwróconą w niebios tonie błękitne — stanął pokorny, cichy, ze łzą w oku, a księżyc srebrny zidealizował twarz jego, już i tak duchowo piękną.

I pojał w tej chwili smutek natury i uczuł w sercu potrzebę tego smutku, który wieje nad uspioną ziemią, który szepece z wysokiego nieba — zagadką wiecznie, wiecznie tajemniczą.

Ze dworku pana rządcy słyhać było głośne śmiechy, gwary, śpiewy. Wszyscy byli szczęśliwi, tylko Artura serce nie miało bratniego, tylko jego smutek nie zacieniał drugiego czoła.

I popłynął z opuszczonego serca smutek wielki, skryształizowany w słowach, bo żal odpłynąć musi, jedno wszy-



stko, czy na wiatru głuchego poświsty, czy do piersi kochającej?

— Boże mój. — mówił — swobodę i uśmiech wszystkim dałeś, tym tylko, którzy promień twego oka, blask twego ducha na skroni noszą, w ustach słowo przez Ciebie uświęcone, tym tylko chwili szczęśliwej nie dajesz. I nie ma na ziemi dalekiej ani jednej istoty najdrobniejszej, któraby choć raz nie była szczęśliwą, — a o mnie, o mnie zapomniłeś, i nie ma stworzenia, któreby gniazdka swego nie miało, dzieci, miłości, — a o mnie, o mnie zapomniłeś.

Schylił się, głowę ujął w dłonie obie i smutny był bardzo.

Zapomniał znów walki całej i planów na dalsze życie osnutych, bo serce człowieka zapragnęło ludzkiego cierpienia.

Miłości zapragnął, koniecznie miłości — wielkiej, powiewnej, gorącej.

I zdawało mu się, że Wanda klęcząca objęła kolana jego drżącym ramieniem, głowę ukryła na łonie jego, szepcząc miłości słowa — ciche, rozkoszne, i zdawało mu się, że słyszy głos jej pieszczący, widzi twarz rozpromienioną uczucia bożkiego żarem.

— Wando moja, Wando — szepnął — żegnaj mi!

Zerwał się; słowo „żegnaj“ wróciło mu przytomność; rękę poniósł do bladego czoła, oczy przecierał, jakby z ciężkiego snu zbudzony.

— Wszystko mary, nieprawda wszystko — mówił.

Aleą sunęła postać kobięca w białej sukni, z rozpuszczonym w kędziorach czarnym włosem.

— Wanda — rzekł Artur, cofając się.

Wanda zbliżyła się szybko i ręką pochwyciwszy Artura ramię, wstrzymała uchodzącego.

Panie Arturze, — szepnęła listka szmérem — przyszłam pożegnać się z tobą. Ty mnie nie poszukasz... wiem o tém.

— Dziękuję pani, — odparł Artur — dziękuję za tyle serca; kiedyś.. kiedyś może wrócę się... przypomnieć.

Kiedyś? — szepnęła dziewczyna.

— Ubogi jestem, nie mam — odparł Artur.



— Masz serce i myśl wzniosłą — mówiła Wanda.

— Mam serce, — odpowiedział — ale to serce jest dziś własnością ojczyzny mojej, ubóstwa własnością niepodzielną; kochać ono już nikogo nie może, ... nikogo.

— Arturze mój! Ty nie mów tak, nie mów, — rzekła Wanda — ty nie mów tak, bo serce moje pęknie.

— Schyliła się, kolana jej zgięły się i wolno ssunęła się do nóg kochanka, szepcząc „Artur mój, Artur.“

Księżyc srebrny z uśmiechem spojrział na parę śliczną, — gwiazdki mrugnęły zalotnie, snopy złotych promieni sypiąc, jak aureolę, na skronie kochanków — wietrzyk nocny pieścił włos czarny dziewczyny — stworzenie całe zamilkło.

— Artur mój, Artur — mówiła Wanda.

— Podnieś się, — rzekł Artur głosem drżącym — wstań i precz pójdz odemnie, bo złamiesz mi serce tą miłością. Kochać ciebie nie mogę, słyszysz, nie mogę dziś, — idź precz odemnie.

— Najdrobniejszy kącik serca twego otwórz dla mnie, najciemniejszy — prosiła Wanda.

— Nie mogę. Idź, a nie pytaj, dla czego? bo nie zgadniesz, a mnie spokój weźmiesz.

— O! ja zgadłam już; zawołała Wanda — ty wielkim tylko jesteś, nic więcej.

— Mylisz się; serce mam ciepłe, ale dziś go nie mam dla nikogo, ani dla ciebie — mówił Artur. Idź już, pamiętaj o mnie, a czas zmieni cierpienie twoje, ulęczy je, albo mnie wróci tobie.

Artur dawno już znikł w alei, a Wanda klęczała jeszcze na śnieżnym kobiercu z głową na pierś pochyloną — bez słowa, bez skargi.

Księżyc uśmiechał się, jak dawniej, gwiazdki płynęły, jak poprzednio, jak zawsze, jak wczoraj i dziś; wietrzyk igrał we włosach Wandy, pieszcząc skroń jej bladą — wieczór modlił się, szeptał.

Wanda klęczała jeszcze; — ból kamieniem spoczął na ciele schorzałym.

. . . . .

W saloniku pana rządzcy pełno już było, hałaśno.

Towarzystwo podzieliło się na oddziały, z których każdy obsiadł stolik.

Na kanapie siedziała pani domu, przy jój boku księża siostra, na foteliku przy paniach Władysław Kaczmarowski.

Przyjechał dziś z wizytą do pana rządzcy, a miłym był gościem, bo pomnożył grono winszujących.

Kilka pań jeszcze wiankiem otoczyło pierwszy stół, wsłuchane wszystkie w mechanikach słowa, który rozpowiadał o Berlinie, Szwajcaryi i Paryżu.

Panie słuchały mechanika z uwagą, bo mówił płynnie, dobrze, przeplatając opowiadanie dowcipem i uśmiechem ironicznym.

Drugi stolik obsiedli gracze.

— Siedm pik, — wołał pan rządzca, — a to wam spodni przykroję.

— Wmieszam się — mruknął proboszcz miejscowy.

— I ja — dodał Dutkowski.

Karty sunęły po stole, oczy na obrazki zwrócone nie ruszały się.

— A co? mówił pan rządzca wygrawszy.

— Dawaj karty, panie Dutkowski, — rzekł ksiądz.

Ozimina u ciebie jaka, księżo? — zapytał pan rządzca.

— Hm, ryzykuję. Ośm karo — zadysponował ksiądz, spoglądając z tryumfem po graczach, jak gdyby wygrywał znaczną bitwę. — Ozimina moja zieleni się, jak las dębowy.

— Leży, leży, jak Boga kocham, leży — wołał pan rządzca, zanosząc się od śmiechu — leży proboszcz.

Ksiądz karty złożył, pot z czoła ocierając.

— Spracowałem się — mruknął.

— Szambelanowi tylko w karty grywać całe życie — rzekł pan rządzca.

Śmiech graczów przywodził panu rządzcy.

— Zbieraj, a nie gap się — rzekł proboszcz.

— Na asa, he, na asa zebrałem — mówił pan rządzca.

— Jakże pasza twoja, panie Dutkowski? Starczy do zniw?

— Wmieszalem się — monologował Dutkowski, rozglądając się w kartach. No, zwykle tref — wyrzekł po długim rozmyśle. — Paszy mam aż za nadto jeszcze.

— Dla podłości koloru pójdę — rzekł pan rządca.

— I ja — dodał szambelan.

— I tak grali, a grali, paląc cygara, popijając Węgrów napój, śmiejąc się wesoło.

Kaczmarkowski bawił tymczasem panie, które nie spuszczały ócz z mówiącego. Kilku młodych ludzi, przypatrujących się graczom, niejednokrotnie z zazdrością spojrzęło na mechanika.

Wniesiono wieczerzę.

Krzesła poruszono, stoły odsuwano.

Goście stanęli przed stołem, miejsc sobie ustępując; każdy chciał więcej być grzecznym od sąsiada, skromniejszym, a każdy pragnął, jak najwyżej zasiąść.

Uszykowało się jakoś.

Weszła i Wanda i przy matce siadła, skłoniwszy się gościom; którzy nadszaliwać zaczęli dziewczynie. Jeden tylko Kaczmarkowski z miejsca swego się nie ruszył, bo ruszyć się nie mógł; tak wilgotne oko smutnej dziewczyny członki jego sparaliżowało.

Śliczna — mruknął przez zęby.

Pan rządca fetował gości, ścisnął, dziękował, dolewał kieliszki próżne i pół próżne „pijcie“ — wołając — „pijcie i upijcie się.“ Było już wesoło przy stole, gwarno; wino zagrzało głowy wszystkie, języki rozwijując i poszła rozmowa o polityce, o Turcyi i Rosyi, o ojczyźnie w końcu kochanej, o ucisku i niedoli — i ten i ów w stół już uderzał, dowodząc prawdy słów swoich.

— Oj bieda nam, bieda!

O Artura — nikt się nie pytał, tylko Wandy oko zwracało się czasem na drzwi.

Jeden Kaczmarkowski nie mieszał się do rozmowy o polityce, o ojczyźnie kochanej; pociągał węgrzyna i patrzył natrętnie na Wandę, która spostrzegłszy oko, ciekawie na siebie zwrócone, schyliła się nad talerzem.



— Panie, panie — szepnęła panna Kicińska, siedząca przy Kaczmarkowskim.

— I cóż? — zapytał mechanik.

— Zbyt ciekawie pan patrzysz.

— Wolno mi przecież, jak przypatrzyć się wolno pięknemu koniowi, albowi obrazkowi ładnemu — odparł mechanik.

— A wolno — syknęła panna.

Najedli się, napili, nagadali i w końcu rozplakali goście.

Znów stoły rozsunięto, krzesła ruszyły się i każdy wracał do pierwotnego miejsca, aby odpocząć po trudach wieczery.

Pan rządzca rozsiadł się wygodnie na fotelu, i cygaro zapalił.

— Złe nowiny doszły mnie z Galicyi, — rzekł do proboszcza — dziedziczka bardzo chora.

— Hrabina Uchańska? — zapytano zewsząd.

— Hrabina. Toć i czas staruszce — mruknął pan rządzca.

Chciałbym być jej krewniakiem — wołał ten i ów.

— Jestem mocno ciekawy, kto też weźmie po niej cały majątek? — rzekł ksiądz.

Któżby inny, jeżeli nie syn nieboszczyka hrabiego, — odparł rządzca — toć jedynym on potomkiem rodu Uchańskich.

— Czy może hrabia Artur? — zapytał teraz Kaczmarkowski.

— Podobno nosi imię takie młody hrabia; — rzekł pan rządzca — kaduczne imię, pańskie, ale majątek weźmie olbrzymi. Ciekawy też jestem, gdzie się też teraz obraca?

— Gdzie się teraz obraca? nie wiem — mówił Kaczmarkowski, — widziałem go w Berlinie przed półrokiem.

— Pan zna hrabiego Artura? — pytano ciekawie.

— Kolegowałem z nim w Berlinie — rzekł Kaczmarkowski. — On słuchał medycyny, ja chemii.

— Medycyny? Hrabia? — zawołał ksiądz.



— Medycyny, księżę, — odparł mechanik z uśmiechem — bo trzeba państwu wiedzieć, że to charakter wielki, szkoda tylko, że arystokrata, a co gorsza marzyciel.

— A teraz co robi? — pytał pan rządca. Nie znam młodego dziedzica, bo już lat sześć minęło, jak w bieleckim bywał dworzec, a na pogrzebie niebożczyka pana nie byłem.

— Gdzie się teraz obraca, nie wiem? — powtórzył mechanik. — Co robi? wiem. Jest gdzieś guwernerem.

— Panie! chyba żartujesz.

Goście, zajęci opowiadaniem mechanika, nie spostrzegli, jak Artur wszedł i przy drzwiach się zatrzymał, ujrawszy Kaczmarskiego.

— Człowiek to z silną duszą i płomiennem sercem, — mówił dalej mechanik — jedyna szkoda, że go szlachcianka rodziła, bo inaczej mógłby być trybunem swego ludu.

Artur chciał się cofnąć; — było już zapóźno.

Wanda jedna spostrzegła go i objęła kochanka wzrokiem gorącej miłości, a wzrok ten pochwycił mechanik i odwrócił się, biegnąc za nim.

— Hrabio! — krzyknął — hrabia tu co robisz?

— Byłem do dziś guwernerem pana Skrzętskiego, jutro wracam do Berlina na egzamina krajowe — odparł Artur spokojnie.

— Któż to? — szeptano.

— To hrabia Uchański — rzekł mechanik.

W saloniku pana rządcy cisza powstała nagle, jak po uderzeniu piorunu.

Wszystkie twarze zwróciły się ku drzwiom, oczy wszystkie spoczęły na postaci Artura, który stał jak posąg, z żalem do tych wszystkich, których jedno słówko „hrabia“ zamieniło w karykatury fałszywego wstydu.

Na twarzy pana rządcy odzwierciedlił się przestrah, lica panny Kicińskiej wyrażały wstyd i gniew, Dutkowski zbladł cały — jedna Wanda pochyliła głowę, bo pierś jej kochającą wyraz „hrabia“ niemile targnął.

— Panie hrabio, — bełkotał rządca — jaśnie panie, hrabio, przepraszam.

— Oszczędź sobie pan tytułów, których nigdy nie pragnąłem, — rzekł Artur — a miej naukę na przyszłość, panie Skrzętski, abyś uboższemu — nie uprzykrzał życia; i wy wszyscy naukę miejcie, wy, którym się zdawało, że wolno sponiewierać człowieka w pracy, wy wszyscy, którzy wyższego od siebie, czy rozumem, czy ofiarą, czy tytułem, albowi majątkiem, przeklinacie, zazdroszcząc mu przypadkowych korzyści, choć się sami demokratami nazywacie. Panie Skrzętski! Zrób przysługę synowi twego pana i odeślij mnie natychmiast do najbliższej stacyi pocztowej.

— Panie hrabio, przepraszam — bełkotał jeszcze pan rządzca.

— Nie potrzeba — rzekł Artur.

Posłał Wandzie wzrok pożegnania, w którym stanęła dusza jego cała i miłość jawna i żal i wszystko.

— Żegnaj mi — szepnął i wyszedł, a za chwilę słychać było tylko turkot uchodzącego powozu.

. . . . .  
Zabawa dalsza zepsuła się.

Pan rządzca mruczał:

— Ja osieł stary domyślić się mogłem; podobny był przecież do niebożczyka pana.

Panna Kicińska szeptała:

— Cóż pomyśli sobie o mnie człowiek wyższy rodem?

Ale panna Kicińska i Kaczmarkowski pochycili wzrok Artura, który posłał z pożegnaniem Wandzie i zrozumieli wzroku tego znaczenie.

— To tak było? — mruknęła panna. Nie trafisz do niej, choćbyś wrócił.

— Nie staniesz mi w drodze, jaśnie panie, — mówił Kaczmarkowski — choć wiem, że wrócisz.

I w dwóch czarnych duszach zrodziły się plany czarne.

~~~~~  
Po wyjeździe Artura trwała w Białej rewolucya, wywołana dziwném odkryciem, tydzień jeden i drugi. Stopniowo

wracało do dworku pana rządcy jednostajne życie gospodarza i to coraz czynniejsze, im więcej bocianów z ciepła wracało, im więcej jaskółek gniazdka małe w owczarniach lepiło i oborach.

Nadeszła wiosna.

Pan rządcza siedział znów dni całe na koniu, i po polach się włóczył, na ludzi swoich wymyślając; zapomniał o Wandy chorobie, i ponownie preferansa polubił, gości i gawędkę. Czasem tylko, kiedy wieczorem córkę przy książce zastał i już, już miał wybuchnąć, a dziewczyna na ojca oko łzawe podniosła, przypomniał sobie gospodarz dni troski i Artura słowa, które wsiąkły jakoś w serce jego, choć się do tego przed sobą nawet przyznać nie chciał.

Darmo tłumaczył sobie powód choroby „twardym gatkunkiem,” darmo przywodził na pamięć, że „tak dawniej nie bywało,” zawsze i wszędzie drżały w głębi serca słowiańskiego, ubranego na pozór w kolce, Artura słowa: „córka twoja wzięła od ciebie serce ciepłe, ale delikatniejsze ono, bo na duchowym wzrosło pokarmie, którego ty nie brałeś.”

— Skaranie bozkie; — mrucał wówczas — te książki dziewczynie w głowie przewróciły.

Grzeczniejszym był jednak dla Wandy, czasem śmieśźnie grzecznym, kiedy z grymasami słów dobierał, jakby nie umiał do córki przemówić.

Wanda gospodarzyła pilnie, skrzętnie, wyręczając teraz matkę w kurniku i sklepie; wieczory spędzała przy fortepianie, przy książce, lub w ogrodzie pod lip parą, gdzie nikt nie przeszkadzał marzeniu, z kądem myślą do Artura biegła, dalekiego Artura.

Na serce dziewczyny padł promień miłosnego słońca, pierwszy ciepły, gorętszy promień, i rozwinął to serce dziewczę w cudownych barwach, jak się pączek róży stulistnej na wiosnę rozwija, aby woniał i cieszył oko człowieka. Co dawniej tylko przecuciem było, stało się teraz prawdą, ale prawdą morderczą.

Marzenie przedwstępne było ciche, jak łąk jasne wopy, szemrzące, jak strumyk cienistego lasu, jak oddech niebie-



skiego szczęścia wonne, — prawda przyniosła cierpienie i kolce, zrodziła łzę gorzką, łzę uchodzącąj nadziei.

— Artur, mój Artur — szeptała Wanda.

Artura nie było przy niej; on daleko w świecie obcym pracował, otoczony rojem marzeń szczytnych, on kochał wszystkich, świat cały, tylko nie tę, która za jeden uścisk jego byłaby życie oddała, bo Artur wielkim był tylko, — sądziła — poświęcenia pragnął, pracy dla narodu, a wszelka wielkość nie jest z tej ziemi, więc namiętności ludzkich nie rozumie.

Tak mówiła sobie Wanda, a jednak prosiła z tęsknotą:

— Artur, mój Artur!

Ale Artur nie posyłał pewno podobnego szeptu z daleka do tęskniącój, bo inaczej przeczułoby serce kochającój, posłyszałoby szept upragniony, a serce Wandy nic nie przeczuwało, ani słyszało.

— O! O! — było smutno tak, smutno!

— Artur, mój Artur! — prosiła Wanda, oko zwracając błagalnie do nieba, skroń kładnąc na liści pieszczące posłanie, uchem tonąc we wiosny piosence swobodnej, miłosnej.

Artur nie słyszał, nie widział, nie przeczuwał pewno nawet. Ciężka dola, ciężka.

Było-że tobie, niewinny ptaszku, zapatrzeć się w twarz bladą, zawisnąc na myślącym czole, było-że tobie życie duszy młodej wpleść w istotność drugiej duszy, którą otacza aureola nieziemska?

Czemuś, czemuś pokochała serce, które nie czuje twego bicia, nie pragnie twego ciepła? Otóż życia ścieżką biegną tłumy młodzieży, z których niejeden wdzięcznie ciebie ukocha? Czemuś on tylko, on jeden? — mówił rozum.

Mądry, przemądry rozumie! Pytaj jaskółki, dla czego jedną pokochała samkę, gniazdko własne i pisklęta swoje tylko, choć płynie w powietrzu równie gromada cała? Pytaj robaczka drobnego, dlaczego swojej tylko wybranej ziareczka znosi na pokarm, swojej tylko broni chatki? dlaczego, dlaczego? Ale jaskółka i robaczek za instyktym swoim idą, za Boga głosem, rozkazem, a człowiek mędrszym być pragnie, mędrszym koniecznie, bo rozum ma wielki, i otóż,



dłaczego błądzi tak często, kiedy w serca sprawach rozumu się pyta.

Wanda nie pytała rozumu, tylko poszła za głosem instynktu, który jój powiedział: „oto twój mąż, z nim pójdziesz życia ścieżką, i będziesz szczęśliwa, choćbyście ze łąą poszli i w ubóstwie. Jego kochaj tylko — jednego, jednego.“

Wanda kochała Artura miłością pierwszą, więc prawdziwie, bez przymieszki rozumowych czynników, które i najszlachetniejsze natchnienia serca ludzkiego częstokroć w nic rozkładają.

— Arturze mój — mówiła, chyląc czoło pokornie przed koniecznością — wybac mi, najdroższy, serca mego płomień ziemski, wybac mi, wszakże nie moja tu wina. Kobieta tylko jestem i dopiero miłość do ciebie uświęciła serce, człowiekiem mnie robiąc; jak ty, nie mogę cierpienia czynami zagłuszyć, nie mogę, nie mogę.

Tak Wanda płakała, żyjąc wspomnieniem i mary miłosnej gorzkim, trującym pokarmem.

Oczywiście, że łyzy te wpłynąć nie mogły korzystnie na zdrowie kochającej. Wiedła też sobie, wiedła, śpiewna ptaszka, tym więcej, im pokorniejszą się stawała, cichszą, ojca rozkazom więcej uległą...

Tłum starających się o rękę bogatej dziedziczki rósł tymczasem z dniem każdym, choć Dutkowski odstąpił.

Teraz dopiero po miesiącu uczuł młody obywatel, że go palił policzek Artura; teraz dopiero, kiedy wiedział, że to był policzek hrabiego, który prawdopodobnie niezadługo obejmie dziedzictwo przodków swoich. Policzek jakiegoś tam Norberta, choćby ten Norbert najznakomitszym był człowiekiem — cóż-bo ważył? Policzek wzięty od hrabiego? O!

I tacy są nasi demokraci...

Wkrótce po wyjeździe Artura i Dutkowski opuścił te strony, uchodząc przed urągówiskiem głupich i złośliwych.

W miejsce jego wstąpił inny natarczywy konkurent.

O małe pół mili od Białej mieszkał mechanik Kaczmarkowski.

Już zdala widny był komin parowego młyna, ginący dzień cały w dymu kłębach, który walił się czarny, jak z czeluści piekielnych, węzem smolnym się wijąc nad jeziorem bieleckim, aż dalej w lasach się rozpląwał.

Dom mieszkalny mechanika nie wielki, ale gładki, o wysokich oknach, z tekturowym dachem, stał na uboczu wśród klombów ogrodu francuzkiego, wśród wygracowanych, białym piaskiem wysypanych ganków, jak willa eleganta miejskiego.

Nie był to polski dworek, ani polski pałac, tylko dom przeniesiony z innych krajów na pola nasze.

Wewnątrz willi pokojów było kilka, a wszystkie starannie umeblowane, zapełnione gracikami drogocennymi, jakie spotkać można na konsolach i wystawkach kupców niemieckich.

Gustu mało — ciepła nic; gładkie wszystko!

Kaczmarkowski nie używał tych pokojów, w jednym tylko, zwanym „comptoir“, dni całe przesiadywał.

Było w niedzielę rano.

Kaczmarkowski siedział w „comptoirze“ przed biurkiem i pieniądze liczył, na które czekali robotnicy przed drzwiami.

— Sroka! — zawołał od biurka.

Wszedł robotnik nie młody już, w łachmanach, wyczyszczonych na święto, i pokornie we drzwiach stanął.

— Pięć dni masz? rzekł Kaczmarkowski.

— Pięć, wielm. panie.

— Pięć dni po dwa złote czyni złotych dziesięć. Bierz!

Robotnik stał przy drzwiach, w głowę się skrobał, kapelusz obracał w rękę, a nie odchodził.

— Czegóż? — zapytał mechanik.

— Proszę wielm. pana — mówił robotnik, dotykając kapeluszem posadzki.

Kaczmarkowski nie odwrócił się.

Robotnik stał, skrobiąc się w głowę.

— Proszę wielm. pana — zaczął powtórnie.

— Czegóż?

— Możebym mógł prosić o kilka złotych na przyszły tydzień, bo mi kobiecisko w domu chore. Pan Bóg dał szóstego dzieciaka, proszę wielm. pana — i schylił się robotnik do nóg.

— Naprzód nic nie daję; — odparł Kaczmarkowski — tu praca, tu zapłata, nigdy inaczej.

— Ale żona mi chora, — rzekł robotnik — musiałbym pójść do żydka, a Icek drze bez miłosierdzia.

— Idź do djabła kulawego! Powinieneś się był poprzednio zaopatrzyć, bo z krédką żyć trzeba koniecznie. Wou!

— Szałapita! — zawołał mechanik.

Pierwszy robotnik stał jeszcze, ustąpił jednak, kiedy drugi wszedł.

— Masz dni sześć, co razem czyni dwa talary.

— Tak, wielm. panie.

— Antkowiak!

Przyszedł Antkowiak i Michalak, aż wszyscy wzięli zapłatę za tydzień ubiegły, każdy zbawienną pokrzepiony radą, jeżeli się odezwał do serca chleבודawcy.

Skończył mechanik wypłatę — podniósł się — w dłonie klasnął.

Wszedł sługa, słupem stając przy drzwiach, z oczami zwróconemi na pana.

— Dawaj herbatę! — rozkazał mechanik.

Kaczmarkowski siadł przy herbacie, obwarzanki maczał w złotym płynie, tyżeczką dzwonił w podstawek, potem papierosa zapalił, rozłożywszy się wygodnie na kanapie.

— Dziś po obiedzie frak wezmę i biały krawat — rzekł do sługi, który czekał jeszcze rozkazów.

Sługa wyszedł — Kaczmarkowski sam został.

Papierosem się zaciągał, z ust puszczając dymu gęste kłęby, nadając im kształty rozliczne, to kółek, to obłoku, lub strumienia.

Marzył mechanik — dumął sobie.

O czém? — O Wandzie.

Nie miłość go parła do ślicznej dziewczyny, bo Kacz-



markowski kochać nie umiał, gdyż liczbą był tylko, cyfrą chodzącą.

Był to jeden z tych ludzi, których Opatrzność urabia w myśli, aby ich wysłać jako proroków swoich między braci, ale nagle zmienia zamiar pierwotny, upuszcza twór niedokończony, nie wykończywszy ostatnich rysów charakteru. Niedokończony obraz, porzucona myśl wielkiego artysty, której ułamki dowodzą natchnienia, a razem wzięte karykaturę tworzą, czasem nawet i potwór.

Kaczmarkowski był dumny, pracowity, głowę miał jasną, rozum rozległy, był nadto sprężysty; — wszystko rysy wielkiego charakteru, ale ciepła nie miał w sercu, miłości dla ludzi nie miał, téj miłości, która jak aureola uświęca twarze natchnione, dumę do szlachetności podnosząc. Był synem bogatego kupca, który jedynekowi dał wychowanie staranne, a że światło łatwo się czepiało szerokiego czoła, myślącego oka, stało się, że mechanik wiele wiedział. Szczypta miłości, a był-by posłannikiem, zwiastującym przyszłe świata koleje, albo trybunem tego ludu z którego łona wyszedł.

Tak — duma zapanowała reszcie przymiotów, a sceptycyzm materyalisty przyćmił oko jasne, a sprężystość zamieniła się w koci chód intryganta, któremu wszystko jedno, czy szczęście jego okupiły łzy, albo-li cierpienie bliźniej piersi. Charakter to nie polski, nie słowiański, wzięty z zachodu.

Kiedy mechanik ujrzał Wandę śliczną, piękniejszą jeszcze ze smutkiem na czole, ze łzą w oku, zamyślił się, bo spodobała się człowiekowi, przywykłemu do wytartych piękności miast wielkich, postać czysta, wonna dziewczyny wiejskiej.

Podobała się mechanikowi Wanda, jak koń rasowy, jak domek śliczny, jak obraz mistrza, podobała się wiérzchnia obsłona, po za którą nie domyślał się niczego, ani serca, ani miłości, ani wyższego ducha odbłyśków.

Żydek-faktor przyszedł w pomoc.

Dowiedział się od niego Kaczmarkowski o stanie majątkowym rządzcy, a rozważywszy, że Wanda i szlachcianką była, co również wchodziło do rachuby ambitnego dorobkiewicza, postanowił się ożenić.



— Majętna — młoda — ładna — szlachcianka —  
 dodawał Kaczmarkowski w myśli, jakgdyby stał przed kro-  
 wą, którą mu żydek do kupna podsuwa, — dodawał, aż  
 sumę podpisawszy wyrzekł:

— Ożenię się.

Zacząły się zabiegi.

Kaczmarkowski objął jednym rzutem oka całą sytuacją,  
 bo wzrok miał jasny, krytyczny i usta szydercze, choć nie te  
 ciepłe szydzących pisarzy, lub innych ludzi sere gorętszych,  
 którzy słowa zjadliwemi wyśmiewają wady swego narodu, ale  
 na dnie słów tych łażą się kryje najczęściej, płynąca z serca,  
 co nawet wady miłuje.

Mechanikowi nie uszła matki bigoterya, ani ojca uprze-  
 dzenie śmieczne do tak zwanych arystokratów, więc chodził  
 do kościoła, mszy żadnej nie opuszczając; kazań pobożnie  
 słuchał z wywróconém na ołtarz okiem, czasem wśród obiadu  
 nagle się przeżegnał, mówiąc, że sobie przypominał pokutę,  
 na spowiedzi zadaną.

Z panem rządzcą wieczory całe rozprawiał o magnatach-  
 psubratach, a na dziedzińcu przeklinał z nim razem chło-  
 pów w kamienie, w pioruny i w morowe choroby.

Miesiąc tak trwało. Sprzykrzyła się w końcu mecha-  
 nikowi praca przydłuższa, postanowił więc dziś starania za-  
 kończyć.

Pani Skrzętska wynosiła zawsze pod niebiosy przykład-  
 nego młodzieńca, pan rządzca widział w nim ideał skończo-  
 nego demokrata; — o to téż mechanikowi chodziło. Ani  
 razu podczas zabiegów nie przyszło konkurentowi na myśl,  
 żeby się postarać o względy panny, rozkochać ją w swojej  
 nauce, lub talentach. Zdawało mu się, że to zupełnie nie-  
 potrzebne w obec dziewczyny, która rzadko się mieszała do  
 rozmów, rzadziej usta do uśmiechu składała — zamysłona  
 zawsze i smutna.

Po obiedzie siedział Kaczmarkowski w koczku wiendeń-  
 skim, do Białej jadąc, aby raz skończyć głupią komedią,  
 jak mówił. Jechał wesoly, uśmiechniony, z piosnką na

ustach, którą w Berlinie, czy w Wiedniu na bruku pochwycił.

Był pewien siebie.

Pan rządzca przywitał kochanego sąsiada, jak zawsze, z radością, a tym miliej, że w niedzielę zajechał.

Po zwykłych ukłonach i zapytaniach, powiedział mechanik wręcz, po co przyjechał, i już się zabierał do uścisku synowskiego, kiedy pan rządzca, nagle języka zapomniawszy, zakłopotany bełkotać coś zaczął:

— Zaszczyt, zaszczyt wielki, sąsiedzie kochany, — mówił — zaszczyt — ale — bo, proszę — tak obcesowo jakos — bez narady — bez zapytania nawet córki?...

— Gdzież córka Pańska? — zapytał mechanik.

— W ogrodzie z panną Kicińską — odparł ojciec.

— Masz-ci, masz-ci teraz — wybuchnął pan rządzca, kiedy Kaczmarkowski do ogrodu wyszedł — nieszczęście; córka moja żonę łyka!

— To człowiek miły i wykształcony, bogaty i pobożny — wtrąciła nieśmiało p. Skrzętska.

— Djabli mi po jego pobożności, — zawołał pan rządzca — kiedy łyk, młynarz, do kroćset tysięcy...

— Dziwny jesteś — wtrąciła żona.

— Milcz-że mi zaraz z babskim twoim rozumem; mówię ci, że córki mojej nie wydam za młynarza. Ona śliczna, wykształcona, jak hrabianka. Chryste Jezu!...

I pochwycił się pan rządzca za głowę, i miotał się, jak szalony, wołając:

— Gdyby go chciała, Chryste Jezu!...

Kaczmarkowski wybiegł do ogrodu, gdzie długo błądził w ciemnych gankach, mnąc rękawiczkę w rękę; niecierpliwiła go ta zwłoka!

Nareszcie! Ujrzał Wandę wśród klombów róż i rezedy, widział, jak schylona pieściła białą rączką kwiat rozwity.

Stanął. Po raz pierwszy w życiu słyszał głośnie bicie serca, uczuł nogi drżące pod sobą i krok niepewny.

— Cóż to? — mruknął — Czym dzisiejszy?

A jednak stał z opuszczoną głową, jak zbrodniarz, który myśli po obcą sięgnąć własność.

Bo też piękna była Wanda! W długiój, czarnej sukni, z pod której końce nówek wyglądały, ubrane w safianowy bucik, ze srebrnym krzyżem na podnoszącej się piersi, z białą różą w ciemnych włosach, stała schylona, jak boleść uosobiona, jak płacząca wdowa po ukochanym mężu, piękna, przejrzysta prawie.

— Przepraszam panią, że przerywam miłe zajęcie — rzekł mechanik — bardzo przepraszam. — Wanda podniosła głowę spokojnie, bez gniewu, ale i bez ciekawości, zdziwiona tylko rozchyliła usta drobne, czekając, co przyjdzie?

— Przepraszam panią — mówił mechanik.

Wanda czekała w milczeniu.

— Ale, ale... ja... panią kocham — i proszę o jej rękę — wymówił nareszcie.

Odetchnął. Trudniej było jednak, aniżeli sądził.

Wanda spuściła wzrok w ziemię, ręką odsunęła ciężki warkocz z czoła; żywy rumieniec oblał twarz jej bladą.

— I ja pana przeprosić muszę, — rzekła po chwili — bo pana nie kocham, więc trudno, żebym była jego żoną.

W tém głośny śmiech zarzechotał, i z za krzewiny różowej, pod któremi się ukryła, wyskoczyła panna Kicińska.

— Nie umiałeś się podobać — zawołała, śmiejąc się jeszcze księża siostra.

Kaczmarkowskiego śmiech ten pokrewny ocucił; w czoło uderzył się dłonią szeroką; w oku jego błysnął płomień namiętny.

— To obelga! pani — zawołał.

— Przeprosiłam pana naprzód; — odparła Wanda — serce nie sługa, mój panie.

— Serce? Głupstwo! — zawołał mechanik.

— Panu głupstwem, mnie nie; — rzekła Wanda — zostaw' mnie pan własnemu zdaniu, i odéjdz, proszę; znużona jestem.

— Nie tak to łatwo ze mną, mościa paanno, — wołał Kaczmarkowski, zapominając się coraz więcej — znam ja powód tego uporu. Hrabia, hrabia w głowie siedzi szlachciance.



— Kto panu daje prawo wdzierać się w tajemnice serca mego — mówiła Wanda silnie — kto? Kto panu pozwolił narzucać mi swoją sympatyą, kto pana upoważnił — mnie, właśnie mnie, wybrać sobie za przedmiot rachuby? Kto? Idź odemnie, panie mechaniku, ucz się naprzód uszanować prawa bożkie, serca prawa, bo inaczej zawsze gardzić tobą będę, jak w tej właśnie chwili, kiedy stanąłeś przedemną nagi, bez różu, bez bielidła form i grzeczności.

To było zanadto dla mechanika!

Słabe dziewczę zrywało z twarzy przebiegłego intryganta maskę, to samo dziewczę, które dotąd milczeć tylko umiało, przez kłzę się uśmiechać. Zkąd jęj to? To hrabiego słowa, to wpływ przekłętego arystokraty!

— To tak? — zawołał Kaczmarkowski. Hrabiego słowa płyną z ust twoich, hrabiego myśli. Mylisz się, śliczna panno, mylisz się bardzo, bo ojciec twój wybije ci z głowy panicza i będziesz jeduak moją.

— Mylisz się ty, panie mechaniku, — odparła Wanda z boleścią. Jeżeli słowa hrabiego z ust moich płyną, słuszna to, bo hrabia kochankiem duszy mojej, więc myśli jego i mojemu być powinny. Kocham Artura, kiedy koniecznie chcesz o tém wiedzieć, kocham aż do śmierci, ... dalej jeszcze, po za grób, a śmierci nikt przecież w drodze nie stanie, gdyby mi koniecznie przyszło schronić się pod jęj zimne, a spokój przynoszące skrzydła, gdybym koniecznie do nięj uciec musiała — przed tobą, przed ojcem, przed światem całym. Śmierć silniejsza od ciebie, panie mechaniku, i od ojca mojego, śmierć nie wyda udęczonego nędzarza, który ją o pomoc, o schronienie prosi.

Co to było? Słyszał-li kiedy Kaczmarkowski podobną mowę? Nie! nie. A jednak ta, która słowa gorące rzucała dumnie w twarz dumnemu, stała przed nim zapłoniona, szczytna; usta jeszcze drżały, a były to usta słabęj kobiety.

To nie był sen — to prawda!

— Hrabio, hrabio, porachuję się z tobą — zawołał Kaczmarkowski, i odbiegł do dworu.



Tu pan rządzca zafrasowany chodził jeszcze, zakłopotany, targając wąs.

Nie śmiał podnieść oczu na kochanego sąsiada, kiedy tenże wbiegł czerwony, rozszalały, aby nie wyczytać na twarzy „młynarza“ odpowiedzi Wandy. Drżał, jak liść osikowy. Biedny rządzca!

— Odmówiła mi — wybuchnął Kaczmarkowski.

— Co? — krzyknął pan rządzca i poskoczył, aby uścisnąć kochanego sąsiada.

Byłby się wydał, nie umiejąc panować nad ruchami swemi.

— Odmówiła — powtórzył mechanik.

Eh! to niepodobna; taki przystojny, mądry kawaler, eh, to nie może być — cedził pan rządzca, stając się raz pierwszy w życiu ironicznym.

— Ależ prawda, prawda — wołał mechanik, którego oko bystre zaćmiła w tej chwili namiętność, bo inaczej byłby dojrzał mimowolnej gospodarza ironii; tak niezgrabnie z nią było szerokięj, słowiańskięj twarzy.

— Ten hrabia, ten hrabia — wołał mechanik.

— Tak jest, hołysz, ten hrabia — dogadywał pan rządzca.

— Odmówiłaś sąsiadowi kochanemu? — zapytał ojciec wchodzącęj córki.

— Odmówiłam — odparła Wanda.

— Dla czego, moje dziecko? Ładny przecież z niego kawaler? — mówił pan rządzca łagodnie.

— Bo nie jestem ani drzewa kawałkiem, ani bydła sztuką, abym się dała sprzedać pierwszemu z brzega amatorowi — rzekła Wanda.

— Pocóż-bo zaraz tak się unosisz? — zawołał pan rządzca — nie przymuszam cię, nie przymuszam.

I uściskał ojciec po raz pierwszy w życiu swoją Wandę śliczniuchną, uściskał ją ciepło, serdecznie.

— Twardy gatunek; — mruknął, moja krew'!

Mimo prośb rządzcy, rozpromienionego odmową córki, aby zabawił, kazał Kaczmarkowski zaprzęgać, i pożegnawszy się wybiegł przed dwór, wymawiając się bólem głowy.

— Pal go lichu! — mruknął rządzca.

Przed dworem stanął mechanik i zadumał się, zgrzytając zębami.

— Kroć set djabłów, — monologował po chwili — haniebną poroiółsem klęskę, haniebną. Ale któżby się po dziewczynie na pozór uległej i słabiej takiego oporu spodziewał? Ten hrabia, hrabia! Zawsze-li stać mi będziesz w drodze, przeklęty karmazynie?

Zamilkł, myślał i powtórnie mruknął:

— Przeklęty panicz!

— Tak, przeklęty panicz! — powtórzył ktoś z boku.

Mechanik obejrzał się.

Obok niego stała pani Kunegunda.

— Podśłuchujesz pani myśli moje — mruknął niechętnie.

— Zbyt głośno myślisz — odparła panna.

— Być może.

— Dziecinny jesteś, panie Władysławie.

— Być może.

Zrażasz przyjaciółkę.

— Być może.

— Odpychasz sprzymierzeńca, któryby się mógł przydać.

— Naprzykład kogo?

— Mnie.

— Przeciw komu?

— Przeciw hrabiemu.

Mechanik spojrział na pannę badawczo, a potem rozśmiał się szyderczo.

— Ha, ha! Rozumiem! — rzekł. Dziwne szczęście ma ten hrabia.

— Nie wchódźmy w to, podajmy sobie raczej ręce do wspólnego działania.

— O cóż pani chodzi?

— O to samo, czego i pan pragnie.

Naprzykład?

— O to, aby hrabia nie ożenił się z Wandą, bo, że wróci, przekonana jestem.

— Wróci, wróci. Niech go...

— Więc zgoda?

— Zgoda. Ale jakich środków użyjesz, pani?

— Przedewszystkiem, wyzyskać trzeba głupotę rządcy. Pan zna jego nienawiść do arystokracji, więc możnaby hrabiemu podsunąć jakiś zamiar nieczysty względem Wandy.

— Nie rozumiem.

— Eh, rozumiesz pan! Gdyby się naprzykład powiedziało, że hrabia chce... no, chce, ..

— Ah! rozumiem. Jeśli prawdą, że kobieta szlachetna zawsze szczytniejszą bywa od mężczyzny, to i to prawdą, że podła przewyższa szatana pomysłami czarnemi. Gdzie djabeł nie może, babę tam pośle.

— Mów, co ci się podoba, ale zemścić się muszę.

— Owszém; pracuj dla mnie.

Ale pomożesz?

— Służę chętnie.

Kabriolet zajechał; — Kaczmarkowski uściskał zwiędłą rękę nowego sprzymierzeńca i wrócił na kolonią swoją.

A na dworze było tak ślicznie i wonno.

Wieczór wiosenny kołysał strudzoną ziemię do snu pieśnią seraficką. Wiosna była na dworze! Rodzi ziemia stworzeń miliony, słońca promień z miłością ogrzewa dziatwę swjej kochanki, wiatr nawet, mruk-maruda, szemrze „śnijcie, wiosny zwiastuny.“

Czemuż-bo ludzie nie pytają przyrody o życia swego prawa, czemuż nie szukają natchnień w tej wielkiej, wiecznie nieomylniej księdze, w której Bog sam znaki swoje pisze?

Hrabina Uchańska umarła w trzy miesiące po wyjeździe Artura z Białej, zostawiając testamentem majątek cały synowi jedynego brata.

— Żle — mruknał pan rządcza, kiedy wiadomość urzędowa o tém przysła — głupio bardzo. Będę teraz w rękę

człowieka, którego tyle razy obraziłem. Nie musiałyby mieć krwi i mięsa, gdyby nie zechciał oddać mi z lichwą wszystkiego, czego doznał odemnie. Ale też to, co prawda, dziwny człowiek! Hrabią być i gubernierować; wołałbym już drzewo gdzie rąbać, albo żebrać, niż wystawiać się na grymasy lada kogo. Eh, któż-bo wie, co to za człowiek? Pan jest, ale co w nim siedzi? — czart go zna? Krośset djabłów, — wołał głośniej — ale ja płaszczyć się przed nikim nie myślę, tym mniej przed takim wymokłym paniczem, który Bóg wie, ilu już żydom w piecach wymiatał? Pójdę dzierzawą i basta.

Inne były myśli, które powrót spodziewany Artura wywołał w duszy Wandy. Kochała ona Artura, ale nie hrabiego, magnata, tego tylko Artura, który ze łzą w oku niósł pomoc ubóstwu, ze ściśnionemi usty cierpiał obelgi półgłówków i panków, a zawsze dumny, od prześladowców wyższy i czystszy. I Artur kochał Wandę. O tém wiedziała dziewczyna, choć odpychał jęj miłość, bo kochanki oko jest bystre, i z jednego ruchu poznaje serce ukochanego. Dla czego odpychał jęj miłość? Nie wchodziła w to, nie pytała; powody mieć musiał, — mówiła sobie. Miłość wierzy, a nie rozumuje, niewinnia, a nie bada.

Będzie-li hrabia Uchański tym samym Arturem, tą samą pójdzie drogą, którą tak zbrojnie ubogi szedł Norbert? Nie olśni go szczęście, złoto nie porysuje-li niezmaconego charakteru, jak szkła czysty kryształ pęka z zimnej nagle w gorącą rzucony wodę?

— Nie, nie — odpowiadało serce Wandy, ale rozum sykał: — wszystko się już działo. Nie byłoż przykładów, że najsilniejsze duchy upadały, olśnione blaskiem zbytniego szczęścia, dmąc się i puszając wśród oklasków tłumu codziennego?

— O! nie, nie — prosiła Wanda, ręce podnosząc z modlitwą do miłościwego ojca.



W pałacu powstał tymczasem ruch wielki.

Odrywano drzwi i okna, wietrzono pokoje, odwykłe od słonecznego promienia przez prawie cztery lata; myto posadzki, odkurzano meble, wszystko na rozkaz Artura, aby pleśń nie powiała na wracającego dziedzica. I sąsiedztwo gotowało się już na przyjęcie magnata. Różne różni plany snuli, liczne liczni w głowach zamysły chowali, a wszystkie osnuły się na jednym kłębku.

Chciał po prostu każdy korzystać z młodego dziedzica, choć każdy w inny sposób, pośrednio, lub bez.

Jakoż bywały teraz częstsze herbaty, wieczorki, a ciocie i powiatowi faktorzy nieśli radę zbawienną, której celem było prędsze złowienie panicza.

Młody hrabia był kawalerem! Jakież to pole szerokie, wdzięczne do planów rozmaitych!

Młody hrabia był człowiekiem bogatym, jedną z pierwszych w kraju partyi!

To dla matek żniwo.

Młody hrabia dalej z niejednego pieca chleb jadł, po dalekim włóczył się świecie, awanturował się pewno — a panny lubią awanturników.

To też starsze przeglądały się w zwierciadłach, pytając, czy róż potrzebny i ile? przypominały sobie zapomniane już lekcye na fortepianie i literatury, bo hrabia Artur wykształconym był panem, do akademii chodził, a nikt wie — dziecię nie może przed śmiercią, jakie go szczęście spotkać może; chodzi ono podobno po ludziach, z których szydzi.

I nie było jeszcze Artura w dobrach bieleckich, a osoba jego stała się już powodem do kłótni, które poróżniały domy, dawną związane przyjaźnią, a już matki i ciotki wynajdywały ploteczki na sąsiednie córki.

I tak to zawsze na tym świecie!

Hrabia Artur młodym był, dotąd nie zaznał wiele przyjemnostek, więc pohula sobie, bo majątek daje i gusta; ba — wie się pewno zacznie.

I już siodłała młodzież wierzchowce, ćwiczyła ogary, bo lasy bieleckie pełne były zwierzyny, a trudno, żeby taki pan z panów nie miał lubić polowania, towarzystwa, uciech.

Oj to, będzie wesoło, huczno w starym pałacu!...

Tego, o którym tyle radzono, nie było jeszcze ani widać. Siedział spokojnie w Berlinie, gdzie kończył rozpoczęte egzamina, czego nie mogli pojąć ani pan rządca, ani okolica, ale wybaczyli, bo wybacza się przecież magnatowi niejedno dziwactwo.

— Już-bo teraz nie pojmuję — mówił pan rządca do każdego, co go chciał posłuchać. Na cóż takiemu panu nauka? To i wyschnie, wychudnie, chłop się robi, jak szczy-pawka, chuderlawe, blade, zdrowie traci. Skaranie bozkie! Niby tego nie widzę po mojej Wandzie, którą te książki przebrzydłe zamieniły w cień. A było to sobie dziewczysko, proszę widzieć. Na cóż takiemu panu nauka? Ba! Wielki pan, jaśnie pan, chciałby i rozumem przewyższyć brata szlachcica; proszę, jaki mądry, ale ja za takie rozумы i kłaka nie dam.

Tak rozprawiał pan rządca i czekał, rychło zajedzie młody hrabia i sługę swego ojca psami wyszczuje? bo innego obejścia nie spodziewał się od dawniejszego pana Norberta.

Czasem tylko, kiedy sobie przypominał, jak Norbert był miłym dla prostego ludu, jak nieraz nocami nad księgą ślęczał, jak wcale a wcale wynosić się nie umiał, chyba go podrażniono, pomyślał rządca:

— A któż go wie? Może on i szlachetny, zacny człowiek, może on inny od reszty magnatów.

Bywały chwile, że zaczął wierzyć, że synu starego rodu wielkim i czystym być może, i byłby uwierzył, gdyby szatan nie był go powiódł na nowe manowce.

A ten szatan ubrał się w postać pani Kunegundy.

Ułović sobie męża było ostatniem i jedynem marzeniem stariej panny.

Zaslepiona żądzą nie widziała nawet niedorzeczności w tych zamiarach, bo człowiek zaciętrzewiwszy się staje się ślepym na wszystko, co się obok niego dzieje.

Aż oto piękny Norbert, zamiast do niej się zbliżyć nachylił się z miłością do Wandy.

To zbrodnia godna kaźni, choćby krwawej.

Zochyzić wiarołomcę, zniszczyć rywalkę, zaniepokoić wszystkich, co otaczali dwoje zbrodniarzy — było odtąd jedynym staraniem pani Kunegundy.

Podłość wszelka tajemni chodzi ścieżki, nocą się skrada, jak kot, a pochwywszy ofiarę, czepia się piersi ciepłej, i ssie krew' serdeczną. Na taką walkę, nie ma środka, bo trudno przeciw nieznanemu wrogowi wystąpić z odkrytą przyłbicą. W takiej walce ulegają zwykle najszlachetniejsi szermierze, jeżeli się Opatrzność nie zmiłuje nad cnotą, przypadkiem odsłaniając nocne roboty zazdrości lub intrygi.

Strasznym wrogiem być może taka stara panna, zawiedziona w jedynych swych marzeniach, a straszniejszym jeszcze, jeżeli ten, na którego sięci zastawiła, spostrzeże je i wyśmiawszy uleci, nie skrepowany.

Jakoż dowiedział się rządzca od Kunegundy o miłości Artura i Wandy, dowiedział się dalej, że hrabia, jak panicz każdy, chciał nadużyć niewinności wiejskiej dziewczyny.

A pan rządzca uwierzył i podniósł się, ściskając pięść groźną:

— Niech-no przyjdzie, a pokażę mu.

Rządzca wierzył przecież chętnie wszystkiemu, co mówiono na panów, byle było złe.

I do Wandy przypuściła pani Kunegunda szturm, ale tu się jęj nie powiodło; Wanda uśmiechnęła się tylko i cofnęła na zawsze od towarzyski.

Kiedy Kunegunda przekonywać chciała Wandę, że Artur ateuszem, niedowiarkiem, bo widziano go nieraz ziewającego na kazaniu nudnego proboszcza, a zdarzało się nawet, że zamyślony zapomniał uchylić kapelusza przed Bożą Męką, odpowiadała Wanda:

— Proszę nie mówić nic złego na Artura, bo religia zakazuje przedewszystkiēm kopać dołki pod bliźnim.

Na ten lep złowiła Kunegunda panią Skrzętską, bo matka Wandy była bardzo pobożna.

Kiedy tak wszyscy o Arturze radzili, on siedział spokojnie w Berlinie i już mruczał pan rządzca:



— Może wcale nie przyjedzie, może popłynie do Australii, do Kalkuty, bo wszyscy oni tacy; pstro w głowie, dopóki pieniądze w kieszeni.

Nareszcie.

W końcu Września wieczorem, w chwili, kiedy pan rządca, jak zwykle, odbierał paradę swego bydła, koni, zaprzęgów, ciągnących z pól i łąk, zajęchała przed pałac bielecki bryka gratów pełna, książek, obrazów.

Pan rządca stał przed własnym domkiem w ubraniu letowem i z batem w ręku, dyspozycją wydając włodarzowi, który z odkrytą głową, z wrokiem wlepionym w ziemię, rozkazów w milczeniu słuchał.

Bramami dziedzińca ciągnęły pługi, zaprzężone czwórkami czarnych wołów, dalej radła i brony, dalej bydła hollenderskiego stada i owiec poprawnych gromady.

Ciągnęły wszystkie przed okiem pana rządcy do obór, do stajen, jak dywizya żołnierzy po skończonej dziennéj pracy przed okiem jenerała się przesuwa; — tak zwykł był oddawna pan rządca.

Bydło ryczało już w oborach, stajnie zapełniły się końmi, tylko owiec stada beczały przed owczarnią, tylko swawolne źrebce, z patyków wypuszczone, bawiły się na dziedzińcu, igrając jak dziatwa w piasku.

Pan rządca patrzył, podnosił się. Gospodarzowi rośło serce na widok dorodnych koników, ucho chwyciło miły ryk bydła, bek owiec; — znać było, że pan rządca lubił orkiestrę podwórzowych muzyków, bo wąsa pokręcał z uśmiechem.

Wtém, jakby na złość, bryka zajęchała, a zajęchała wprost przed pałac.

— Cóż to u djabła? Cyganie czy co? — mruknął.

Z bryki wysiadł stary, siwy mężczyzna i do gospodarza się zbliżył.

— Czegóż wasan chcesz? — zapytał rządca.

Stary czapki uchylił, wpatrując się z uśmiechem w gospodarza.

— Pan mnie nie poznaje? — zapytał.



— Wojciech, dalibóg Wojciech — zawołał pan rządzca — ciebie zkąd Pan Bóg prowadzi.

Wojciech był sługą niebożczyka hrabiego, potem za synem się włóczył, a po bankructwie do hrabiny poszedł, która starego sługę wraz z majątkiem przekazała dziezdicowi.

— Zwyczajnie za panem człek się wlecze — rzekł sługa.

— Za jakim panem — mruknął pan rządzca.

— Ano, za hrabią Arturem.

— Masz-ci, to już?

— A tak; wyprzedzam go o kilka dni, aby mu pokoje urządźć podług myśli — rzekł sługa.

— Urządź — fuknął rządzca i znikł we własnym dworku.

Siedziała w saloniku pani Skrzętska, zajęta pończoszką, jak zwykle, i pacierzy szeptem, znów jak zwykle. Nawięzywała oczka, a po każdym nowym pręcie zmówiła „Ojczy nasz“ i „Zdrowaś.“ Robiła już tak od lat kilku, a pan rządzca, ilekroć w niedobrych był humorkach, zwykł był domawiać, że chyba na handel pończochy robi.

Rubaszne obejście się męża, osamotnienie ztąd idące, skrzywiło charakter pani Skrzętskiej, czyniąc z niej bigotkę. Jest to śmieszność tylko, ale i ta śmieszność, jak wszystkie prawie, staje się często bezwiednie przyczyną wielu łez i cierpień.

— Boże, bądź miłościw — mówiła właśnie żona, kiedy pan rządzca do saloniku wchodził.

— Tak, Boże bądź miłościw, — zawarczał mąż — bądź miłościw domowi całemu, bo bięda, oj bięda.

— Cóż znowu? — zapytała żona.

— Cóż znowu? Ona pyta, coż znowu? Siedzi i robi te głupie pończoszyszkał, klepie głupsze pacierze i nosa nie wytknie po za dom. Cóż znowu? Hrabia w drodze. Widzisz, coż znowu?

— W imię Ojca i Syna, — krzyknęła żona z takim przestraczem, jak gdyby się ziemia ruszyła z posad — w imię ducha..., a to dopiero ładne teraz będą rzeczy. Na-

gadała mi, nagadała dosyć o nim panna Kicińska. Toć to Lucyfer z piekła; w Pana Boga nie wierzy; Jezu miły, jak można być tak złym człowiekiem. I to hrabia, hrabia!

— Dziad swoje, baba swoje; — rzekł pan rządca — tobie godzinki w głowie, ale tego, co ważne, nie dopatrzysz. Nie słyszałaś to, co ci księża siostra mówiła, że on się w naszej Wandzie kocha, hę, nie słyszałaś?

— Słyszałam.

— A wiesz ty, co to miłość jaśnie pana? — ty, ty pobożnisio, wiesz ty? Zużyje, jak cytrynkę wyciśnie i wyrzuci — słyszysz? — naszą śliczną wyrzuci Wandę.

— Nie strasz mnie, zmiłuj się...

— Tu straszyć co nie ma, tylko poły zawinąć i uciekać. Tymczasem strzeż ty własnej córki, bo młodzi ludzie, jak się rozkochają, to i ojca smarkacze oszukają, i matkę i wszystkich, a zrobią swoje. Hę? Czyś my inaczej robili?

Rozśmiał się pan rządca.

Na tém skończyła się rozmowa.

Nareszcie skończyły się egzamina w Berlinie. Artur przyjechał do Białej.

Hrabia przyjechał! mignęło błyskawicą po okolicy.

W dni świąteczne i w niedziele zajeżdżali do bieleckiego kościoła nieznanymi dotąd pobożni, a wszyscy w karetkach odnowionych; ale hrabiego nie było w kościele.

Często gęsto zachodził przed pałac wózek któregoś z powiatowych faktorów, który na prędce wynalazł jakiś interes, ale hrabia nie przyjmował nikogo, odsyłając wszystkich do pana rządcy.

Artur zamknął się z rejestrami w pałacu, z książkami gospodarzami, które rządca posłał nowemu dziedzicowi.

Ktoregoś dnia wieczorem pan rządca, jak zwykle, zapalił cygaro, aby rozmyślać po dobrej pieczeni o marnościach tego świata, kiedy stary hrabiego sługa przyszedł go prosić do pana.

— Ki djabeł? Po nocy zwołuje, pan wielki, ani spoczynku nie życzy człowiekowi — mruknął rządca, ale poszedł.

Przeszli pokój jeden i drugi, aż w trzecim sługa wychodząc, szepnął „tu!”

Pan rządzca zatrzymał się przy drzwiach, oczy szare zmrużył raz, drugi, ręką przetarł, bo oślepił je blask niezwykły czterech świec, które płonęły na stole, oświetlając pokoik mały, ciemną wylepiony makatą.

Pan rządzca spojrzął na pokoik i raz drugi oczy zmrużył; takie dziwy ujrzał, takie cuda.

Pokoik mały wysłany był perskim dywanem; wszystkie ściany jego zastawione szklanemi szafami, z których wyglądały złożone grzbiety ksiąg, globusy, figurki, kości jakieś i piszczele. Pod oknem, wychodzącym na ogród, stało biurko czarne, zarzucone papierami, zastawione popiersiami rozmaitych mężów, ojezyznom swoim zasłużonych czy piórem, czy radą, czy mieczem. Byli tam Mojżesz i Napoleon, Schiller i Mickiewicz, Szekspir i Słowacki, a nad biurkiem wisiał obraz Byrona, z głową opuszczoną na białej, arystokratycznej ręce. W kącie ściany od szaf wolny, postawiono kanapkę turecką, obok niej stół i trzy fotele, nad nią patrzyły twarze rodziców Artura, otoczone wieńcem rozlicznych zbroi, rozpiętych na tygrysięj skórze. Toaleta kawalerska przy drzwiach kończyła umeblowanie pokoiku.

Dziwne to było urządzenie, oryginalne co najmniej, a rządzca, który z niechęcią w sercu wszedł do dziedzica młodego, zaczął w gratach upatrywać pana, jaśnie pana, szepcąc: „patrzcie, jak się to nauczył?”

Są między ludźmi ludzie, których życie nie jest harmonijnem dopełnianiem się przyczyny i skutku, a przekonania i pojęcia mniej jeszcze. Tego, co nazywają charakterem, nie mają ci ludzie, prócz pierwotnych części, które im przyroda dała, a które życie dopiero późniejsze w charakter dopełnia taki, albo inny. Zasad nie mają, przekonania żadnych, a serce, które od matki wzięli, samo nie wiele znaczy, bo często błądzi.

Zamiast zasad mają oni uprzedzenia, widzimię, za miast woli, upór, a uprzedzenie i upór zawsze są śmieszne. Niechby sobie mieli te uprzedzenia, gdyby one właśnie nie stawały się w życiu człowieka przyczyną łez wielu, cierpień,



wracających ostatecznie do tego, który je śmiesznością swoją wywołał, bo przejrzy raz jednak oko uprzedzone, oj, przejrzy. Zanim jednak przejrzało, stało się już źródłiskiem nieszczęść, obfitszém częstokroć, aniżeli wyrafinowana poprzednio intryga. Przejrzenie zaś jest krwawe, bo na głupstwa wszelkie i śmieszności nie ma lekarstwa, prócz nieszczęścia, które silnie uderza, sprowadzając przewrót.

Tak uprzedzonym był pan rządca.

Powiedział raz sobie, że panów nienawidzi, więc tego pana szukał wszędzie i nienawidził go, nie wiedząc dla czego?

— Patrzenie-no, jak się nauczył? — mruknął — juźci chyba państwo we krwi leży.

A ten pan stał przed biurkiem, z głową pochyloną na rękę, z oczami wlepionymi w rejestra, — stał w tym samym szarym tużurku, w którym niedawno jeszcze uczył synka jego.

Podniósł głowę; oko błękitne spoczęło na twarzy pana rządcy, oko badawcze, przed którego promieniem tylekroć gospodarz głowę schylał, bo czuł, że to oko piłowało po czole, przedzierając się aż do mózgowicy.

— Dziękuję panu — rzekł Artur — w imieniu niebożczki stryjenki za sumienny zarząd dóbr teraz moich. Przekonałem się z rejestrów, że byłeś człowiekiem uczciwym, jak przystało szlachcicowi.

Pan rządca skłonił się, zarumienił.

Zawstydziło go przyjęcie takie i już zmiękł, już stracił połówę nienawiści. Ot i serce słowiańskie!

Podniósł teraz głowę śmieliej, aby się przypatrzeć hrabiemu.

— Był ten sam jeszcze Artur, ta sama twarz blada; te same oczy głębokie, usta wolą ściśnione; uśmiech tylko smutny ustąpił, złagodniał, i zbiorowy wyraz twarzy mniej był gorzki, więcj zadowolniony, rzowniejszy.

— Proszę, usiądź pan — rzekł Artur.

Zapalili cygara.

— Chciałem pana prosić, jeżeli można, — mówił Artur — abyś i nadal zarządzał bieleckim kluczem, mnie zostawiając część administracyjną i pieniężną. — Już serce

pana rządzcy chciało wyrzéc „zgoda“, wtém przypomniał sobie Wandę, i otrząsnął się. Duch czarny uprzedzenia znana zaśpiewał piosnkę:

— Patrzenie, jaki mi mądry? Mnie chce ułagodzić, aby dziewczynę złapać.

— Dziękuję, dziękuję za tyle łaski, — rzekł głośno — ale stary już jestem, więc spokoju potrzebuję. Za pełnomocnictwo dziękuję i to zaraz, natychmiast, panie hrabio; pójdę do Uchania, gdzie dzierżawa moja trwa jeszcze lat sześć, chyba, żebyś pan hrabia chciał unieważnić kontrakt zmarłej pani.

Artur pochylił czoło; był blady i smutny, bo wiedział, co się działo w duszy rządzcy.

— Broń Boże, — odparł — zmarłych wola świętą mi była zawsze, więc i teraz niech zostanie. Jednak chciałbym szukać sposobu, aby pana przy sobie zatrzymać.

— O widzisz, o widzisz, — szeptało uprzedzenie — Wandy chce koniecznie.

— Dziękuję bardzo, ale nie mogę — odparł pan rządzca szorstko.

— Trudno więc, — rzekł Artur — przymusić nie mam siły, prosić tylko mogę. Jesteś pan wolny od dziś, jako pełnomocnik, do dzierżawcy zaś mam słów kilka.

— Słucham, panie hrabio.

— Jesteśmy ludźmi rozmaitych obozów, — zaczął Artur.

— Rzeczywiście — a tak... wtrącił rządzca — pan jesteś hrabią, a ja szlachetką sobie.

— Nie tak, nie tak, panie kochany; — odparł Artur — rozumić mnie nie chcesz koniecznie, bo ci przeszkadza w tém niechęć, z którą do mnie przyszedłeś. Człowiekiem jesteś, jak ja, jak tylu innych, a ja i ty, wszyscy na obraz i podobieństwo Boga stworzeni jesteśmy. Ród stary, przyznaję, wpłynąć może na delikatniejsze ukształcenie ciała, przyznaję i to, że instynkta daje szlachetniejsze, w krwi leżące, ale ani duszy wzniosłej, ani ciepłego serca dać nie może. Duszę wszyscy odbieramy równą; życie dopiero robi z niej to, co nazywamy charakterem, przekonaniem. Chciał-

bym, żebyś się tego nauczył, panie Skrzętski, a oszczędziłbyś sobie wiele dni troski, córce twojej łoż bezpotrzebnych, ludowi poddanemu przykrości.

Ustał chwilkę; z ust puścił gęsty kłąb dymu, w który się zapatrzył, potem dalej mówił:

— Jesteśmy ludźmi rozmaitych obozów, bo ciebie wychowała tradycja, u mnie nauka zatarła tradycyi przesady; ty starszym jesteś, więc po za siebie patrzysz, ja młodym jeszcze, i dla tego to oko moje w dal przyszlą biegnie. Daleko zaszedłem — wracam do rzeczy. Przeglądając rejestra gospodarskie, spostrzegłem jeden cień w mojem gospodarstwie. Nie widzę nigdzie, aby ciebie lud prosty obchodził, nie widzę ani rubryki dla doktora, ani etatu systematycznych wsparć czy dla ubóstwa, czy dla pogorzalców i t. d. Uprzedzam pana, że lud, który na mnie pracuje, porówno z koniem i wołem potniejąc, w opiekę biorę; zastosuj się do tego jako dzierżawca.

— Chamów bierze pan hrabia w opiekę? — rzekł pan rządca.

— Chamów, kochany panie — odparł Artur zimno.

Podniósł się po tych słowach z kanapki, i podał dzierżawcy rękę na pożegnanie.

Nazajutrz był dzień sądny w dworku pana rządcy.

Służba biegła, znosząc rzeczy, meble wkładając na wozy czterosonne, które uwoziły całe mieszkanie pana rządcy, nie wyjmując zdartych tapet, oderwanych drzwiczek od pieca, na folwark Uchań, leżący za rosyjskim kordonem, gdzie obrażony pełnomocnik zamieszkać chciał aż do skończenia dzierżawy.

Pan rządca z kąta biegł w kąt, robił zamięszanie większem jeszcze, kłął, co przekląć się dało — był zły i grymaśny.

Wanda o świcie do ogrodu wyszła pożegnać drzewa ukochane, i altankę lipową, uświęconą jej marzeniami — wyszła w nadziei czegoś nieokreślonego.



Z urwanych, z kłutwą rzucanych słów ojca, przekonała się, że Artur wrócił niezmienionym, że hrabia Uchański tym samym był jeszcze, którego ukochała.

Pan rządzca wołał:

— Patrzcie no, jaje mędrsze chce być od kury, młodzik uczyć chce rozumu wytrawnego gospodarza, który zęby zjadł na wsi przy chłopstwie? Koszałki prawi taki marnisz, uczyć chce, jak się z chamem obchodzić? Tfu!

Pan rządzca dawał bezwiednie Arturowi świadectwo niezmienionego charakteru, bo Wanda w słowach ojca widziała to, czego rodzic nie widział, i widzieć nie chciał uprzedzoném okiem...

On ubóstwo kocha jeszcze, — mówiła Wanda — kocha, jak kochał, kiedy sam był ubogim, nie zmienił się więc, nie zmienił.

Pan rządzca wywoływał przeciwko Arturowi, że zatrzymać go chciał koniecznie, aby starego uludzić, i dom jego skrzywdzić, zbezczęścić.

On szlachetnym jeszcze, — mówiła Wanda — on dobrem chciał oddać za krzywdy sobie wyrządzone.

Chodziła gankami ogrodu, oko tęsknotą zamglone w niebo podnosząc błękitne, jakby tam wysoko był ktoś, co słyszy serca dziewiczego skargę i ulituje się nad nią. A na niebie stał błękit daleki, na ziemi iskrzył się poranek wrzesniowy, lśnił w milionach kropli brylantowych, błyszczących na kwiatkach, na każdym listku, i gałązce.

Minęła ogród, minęła gościniec, wiodący do wsi i przysła nad brzeg jeziora, którego fale srebrne o piasek bily, szémrząc na porzuconych kamykach — o wieżbę wsparła się złotą, a oko jój posunęło się po szybie wód cichych.

Już lato uchodziło, dzień jednak piękny był jeszcze.

Rok temu — a dusza Wandy spokojnie marzyła, jak poranek majowy, serce było ciepłe, przecuciem brzemiennie, ale ciche, przejrzyste, jak jeziora wody kryształowe. Rok jeden zamienił Wandę w kobietę dojrzałą, samowiedną, rozkrył oku dziewicy wszystkie rozkosze miłości, od bolesnych począwszy aż do tych, które szczęściem zbytniem człowieka słabe serce upajają.

Tak myśląc i marząc stała Wanda, głucha na pieśń poranną ptasząt, ślepa na lśniący krajobraz.

Ktoś dotknął w tej chwili ramienia dziewczyny.

Drgnęła — odwróciła się — był to Artur.

— Wando! — rzekł Artur pierwszy. — Kiedym cię żegnał, byłem ubogi i wówczas zraniłem serce twoje, które dziś przepraszam. Zmienione stosunki zmieniły o tyle zasady moje, o ile obecne położenie pozwala i mnie być szczęśliwym. Ja ciebie kocham, ciebie jedną w życiu i ty tylko będziesz żoną moją.

— Dzięki ci — odparła Wanda, odpowiadając uśmiechem.

— Chwilowo trzeba nam jeszcze czekać, — mówił Artur dalej — trzeba mi bowiem naprzód zwalczyć uprzedzenie twego ojca, który, jestem przekonany, wolałby dziś śmierci twojej, aniżeli naszego związku. Tak silne jest głupstwo! Życiem, czynami pokażę mu, kto więcej panem, on, czy ja? a tymczasem nie płacz, kochanie moje, nie smuć się, czekaj spokojnie, bo rok jeden nie niszczy uczucia wielkiego, jeżeli było prawdziwie. Kochaj mnie i pomyśl czasem o mnie.

Pożegnali się kochankowie bez afektacyi i rozeszli się.

„Po owocach ich, poznacie je.“

Dwóch ludzi zdolnych i światłych stało teraz obok siebie. Czyny ich dowodziły, czyje zasady były lepsze.

Kaczmarkowski był demokratą nowszych czasów, jednym z tych, którzy nienawidzą przywilejów, jakiegokolwiek one, czy przez złoto danych, czy skutkiem urodzenia przyznanych w społeczeństwie.

— Każdy człowiek jest równy w obec Boga i prawa — mówił, i zdawało mu się, że wygłaszał zasadę nową, a przecież zdanie to już tak stare, jak era Chrystusowa.

Wie o tém dziś każdy, wie i najgłupszy panek, a jeżeli sobie uroi jakiś urodzenie z łaski bożej, nie wydaje się z tém, bo czuje, żeby się ośmieszył.

Zasada równości bezwzględnej jest prawdziwą w teorii, czego nikt nie zaprzeczy, ale w praktyce życia nie wolno obalamuwać ludu utopiami, tylko trzeba się liczyć z faktami rzeczywistymi. Gdyby ludzkość cała była równo wykształcona, możnaby podzielić ciężary i prawa na barki wszystkie podług jednej miary; ale ponieważ stan taki na długo jeszcze będzie tylko marzeniem, trzeba więc szanować powagę hierarchii stanowej.

Kaczmarkowski był demokratą, więc na szlachtę wywoływał, że się bez prawa opiera na zdobyczach swoich przodków, że wyzyskuje lud ubogi, a przecież sam nie lepiej czynił. Miał młyn parowy, w którym zatrudniał mnóstwo ludzi, a jeśli któryś z nędzarzy prosił go o wypłatę przed terminem, gniewem się unosił, wołając, że tylko zarobioną daje nagrodę. Mógł go się lud spytać: jakim prawem ty masz złoto, którego mnie nie dano? Było to przecież demokratycznie.

Wszyscy tacy zapaleni demokraci, nawołujący do buntu przeciw przywilejom, depcą sami po karkach głupiego tłumu, którego używają jako tarana do rozbijania przeszkód, stojących im w drodze, a nazywa się to w ich języku „wszystko dla ludu przez lud.“ A biada tłumowi, gdyby się oparł rozkazom swego trybuna. Nie wolno! A jednak opiera się tłuszcza rozkiełznana, i nie tylko opiera się wskazówkom swego przewodnika, ale jego samego pochwyci w końcu, pod gilotynę wiodąc z tryumfem.

Kaczmarkowski wyzyskiwał lud prosty, wyzyskiwać zaczął więc jeszcze, kiedy Artur wrócił do Białej. Karmażyn o dumnym czole a smutnym na ustach uśmiechu imponował mechanikowi, więc rozniecił nienawiść w sercu dorobkiewicza, który szlachcicowi zazdrościł wywyższonego przez los stanowiska. Nie mogąc mu dorównać powagą nazwiska, które bądź co bądź wpływa na umysły, starał się o powiększenie majątku. Rzucił się tedy oburącz w spekulacji sićć zdradliwą, a poczciwi obywatele okoliczni przyklaskiwali,



wołając na przemian: to mi przemysłowiec, to mi mądry człowiek!

Artur innemi szedł drogami.

Stare, obdarte chaty wieśniacze zaczęły się walić, ustępując miejsca murowanym domkom.

— Naprzód chleb podać trzeba, — mówił Artur — a przyjdzie czas i na pokarm duchowy.

Było potrzeba czasu, aby wieśniaka przyzwycząić do myśli, że pan pragnie szczęścia swego ludu, bo łatwiej ugłaskać drapieżnego zwierza, aniżeli człowieka, któremu wieki niewoli odebrały własną wolą, myśl szlachetną, dając mu tylko chęć szkodenia silniejszemu, nieufność w czyny bogatszego i nienawiść do wszystkiego, co własność przypomina. Ubóstwo obrażone jest — dumne, sponiewierane, przyciśnione jest — podejrzliwe i niechętnie.

Dziwił się Artur, kiedy ci sami ludzie, którzy Norberta z uśmiechem witali, przed jaśnie panem uchodzili, odwagi nie mając zbliżyć się do hrabiego.

Spotykał teraz wszędzie na twarzach wieśniaków zamiast chętnego uśmiechu ten niemily wyraz podstępnej chytrości, który niewola i ucisk wyciskają na rysach sponiewieranego człowieka. A jednak trzeba było koniecznie zrobić ludzi ludźmi, koniecznie obywatela z chłopą, bo wieśniak ręką narodu, a ręką silną, — tak sądził Artur.

Pracował tedy serdecznie, czego skutkiem było, że rychło widok jego rozweselał twarzą ludu, że dzieciaki, jak dawniej, u rąk dobrego pana się czepiały, kiedy do wsi szedł, lub w pole wyjeżdżał.

Zbiegał się zewsząd robotnik do bieleckich dóbr, bo tu dawano zboże dobre i czyste w ordynaryi, płacę większą, a co lepsza, że się urzędnik żaden nie ośmielał sponiewierać wieśniaka, gdyż hrabia był wszędzie, wszystko widział, a sam przecież chłopów léczył i zdarzało się, że babom dawał rady, pięknie mówiąc od samego księdza proboszcza.

Zaledwie stanęły białe murowane chaty o dachach czerwonych, już i o szkole pomyślał, o książkach i o nauczycielu.

Nie poznałby nikt dóbr bieleckich; tak inną postać przybrały w miesiący kilka.

Szeroką falą płynął wpływ dobroczynny z bieleckich dóbr, na inne majątki się rozchodząc, bo Polakowi pokazać tylko trzeba, a jużci chętny do naśladowania tak w dobrém, jak w złem.

Nazwisko Artura robiło tu wiele, bo co hrabia czyni, to oczywiście dobrém być musi, a pana takiego warto przecież naśladować. To téż, choć jaki taki wzdrygnął ramieniem, jadąc gościńcem bieleckim, jednak w domu zamyślał się, to i owo poprawił, a jedno już wszystko, z jakich powodów człek dobrze czyni, choćby te powody były tak śmieszne nawet, jak chęć małpowania i próżność. Dobrze, zawsze dobre, a lepsze w skutkach dobroczynnych.

Z dala, z blizka tłoczyło się ludzi mnóstwo do hrabiego z Białej, bo hrabia dla każdego miał rękę otwartą, i serce zawsze ciepłe. — Szczęście to wielkie, być źródłem łez radosnych, przyczyną swobodnego uśmiechu, i to szczęście wystarcza częstokroć wybranym duchom, wynagradzając im brak rozkoszy rodzinnych.

Arturowi wystarczało ono chwilowo.

Uśmiech sieroty, wywołany datkiem, słowo rzewne dziękującej wieśniaczki, były mu nagrodą zapomnienia i własnego osamotnienia.

A jednak! ilekroć ujrzał wieśniaczkę, kołyszącą na kolanach drobną dziecinę, która rączki wyciągała do kochanego pana, uczuwał dziwną tęsknotę, za czémś, o czém dawniej — niegdyś marzył.

Bo i on był człowiekiem, a nie przystała przecież sy nowi niewiasty sama wielkość. Pragnął i on drugiego serca, któreby mu spowiednikiem było, drugiej piersi, choćby źle odzianej, byle ciepłej, ciepłej. . . Najsiłniejszy człowiek ulega często wpływowi bezwiednego instynktu, który bezustannie do ludzkiej piersi kołace, jakby chciał przypomnieć wyłamującemu się z pod praw natury buntownikowi, że jest człowiekiem, jak wszyscy inni. Nazywa się to tęsknotą. Taka to tęsknota chwytła czasem Artura.

W on czas spojrział okiem w stronę Uchania, ale tam nie było już Wandy, bo rządzca, lękając się napadu panicza, jak mówił, wysłał córkę gdzieś daleko do krewnych.

Dziwny człowiek, ten rządzca!

Córki swojej odmówił Kaczmarkowskiemu dla tego, że mechanika nie rodziła szlachcianka, i hrabiemu nie byłby jój oddał, bo hrabia pan, jaśnie pan, a rządzca był strasznym demokratą.

Po cichu, kiedy mu się zdawało, że go nikt nie słyszy, szeptał sobie:

— He, he, toć Wanda moja istna hrabianka; śliczna taka, miła, wykształcona, a cóż hrabia, jeśli nie szlachcic, jak ja, jak tylu innych? . .

Ale przed ludźmi wstydział się tych marzeń, które zadawały kłam wszystkim głośnym słowom jego.

Widział rządzca, że hrabia powozikiem jeździ zwyczajnym, że sług mnóstwo nie kręci się w pałacu, że zamiast hulać, Artur rękę podnosił nad dobrami swojemi, a z ręki téj ciepłej sypały się dobrodziejstwa wielkie; widział to wszystko, słyszał wszędzie i już zaczął pomrukiwać z cicha:

— Któż go wie, to może i człowiek zacny.

Artur wymówił się gdzieś, że się oświadczy swemu rządzcy o córkę i już łuska uprzedzenia spadać zaczęła z oka gospodarza:

— Któż go wie? — szeptał sobie — a może on na prawdę myśli, kiedy się nie wstydzi jawnie rozpowiadać; — a przecież to zawsze hrabia, pan z panów; dopiero by to był zaszczyt. . .

Djabęł uprzedzenia i śmieśczości tracił już wpływ, więc posłał kobietę z językiem żmiji, ze sercem hyeny.

Jak przyszło tak przyszło, dość, że pan rządzca dał się przekonać, iż trudno wierzyć takiemu paniczowi, wartogłowowi, co w Pana Boga nie wierzył.

Sąsiedztwo zawiodło się na młodym dziedzicu.

Młodzież z żalem rozsiodłała wiérzchowce, rzuciła fuzye do kąta, bo hrabia nie dawał polowań, ani obiadów, ani wieczorów hulackich.



— Fe — głupiec jakiś, użyć nie umie majątku — mruknęła młodzież.

Starsze ciotki i mamunie z córeczkami pospuszczały nosy, bo hrabia złożył wizyt wiele, ale więcej się nie wracał.

Artur miał oko bystre, wprawione studjami kilkoletniej poniewierki, zaostrzone nauką. Znudziły go te bezustanne zabiegi i polowania za nazwiskiem jego, za majątkiem.

Pojechał raz, przypatrzył się, ziewnął i do siebie wracał, gdzie go czekała praca i nowe książki i spokój.

— Patrzcie-no, jaki mi pan? — mówiono w okolicy — nie warto spojrzeć na takiego jegomości, co się dmie, jak żaba na kamieniu.

A jednak nietylko patrzeli, ale nawet zaprzęgali do powozu czwórkę bułanych ogierów z czarną przez grzbiet pręgą, bo tak hrabia zwykł był jeździć.

Jaki taki sprawiał sobie bułane ogiery, nie pytając, czy starczy mu na nie, bo mieć je musiał, bo żona nie chciała, aby hrabia wystawniej od reszty jeździł.

I zajeżdżały ogiery bułane przed kościółek bielecki, albo na sejmik powiatowy toczyły się karety wiedeńskie, a takie, jakich nawet sam hrabia nie miał.

„Jaki mi mędrak, że do uniwersytetu chodził“, — mówili mędracy powiatowi — a jednak w mieście powiatowém wieszali się u rąk hrabiego, rozprawiając głośno, aby wszyscy widzieli, w jakiej to oni z „Arturkiem“ zażyłości. Nawet tytuł jaśniepana gniewał sąsiadów. To też niejednen z wioskowych panów zwołał za żony namową ludzi swoich, dając każdemu złotych kilka i rozkaz w dodatku, aby pod służby utratą odtąd jaśnie panem go mianowali.

Tylko naprzód nie dać hrabiemu! . . .

Pawiem narodów byliście i papugą — powtórzył Artur za Słowackim.

Gadano, kłócono się czas niejakiś, potem ucichło wszystko, jak zwykle, bo znalazł się inny przedmiot, czy skandal jaki, lub coś podobnego.

Stańło na tém:

Hrabia Uchański obiegł rychło okolicę jako arystokrata i mądrała, a na dobitek bezbożnikiem go zrobiono, do czego mu przedewszystkiem panna Kicińska pomogła.

Minęła jesień.

Sąsiedzi bliżsi i dalsi przestali się zajmować Arturem, bo cnota zawsze olśni i zwycięży. Członkowie tylko rodzin arystokratycznych gniewali się na brata, mówiąc, że się „afiszuje“ ludofilstwem.

Otóż raz wieczorem, kiedy Artur po pracy dziennéj odpoczywał wśród ksiąg swoich, zajechał przed pałac bielecki szumno i dworno jeden z okolicznych hrabiów.

Arturnie lubił ceremonii; przyjął go więc w pracowni swojej.

Hrabia Rozwadowski był jeszcze młody, ale zgnilizna wiała od niego, i mróz i śmierć duchowa. „Z łaski bożej“ był hrabią i panem bogatym — mawiał — z łaski bożej miał poddanych kilka set, których obowiązkiem było pracować na syna magnatów. Takie pojęcia są przecież nie rzadkie. Ludziom podobnym zdaje się, że miliony całe na to tylko żyją, aby za nich potnieć i gotowi się dziwić, gdyby sobie „kanalia“ sprzykrzyła wieczne wyzyskiwanie „z szyderstwem i poniżeniem.“ A ta kanalia, kiedy ramię podniesie przez wieki niemocne, bywa bardzo namiętną, a ta kanalia woła krwi, krwi! i nie ma dość krwi, choćby jéj morze całe popłynęło — krwi więcej! powtórzy i upija się widokiem konających prześladowców. Któż winien? Nie kanalia, nie lud prosty, bo ludzie ubodzy i sponiewierani są zwykle cierpliwi, aż zbyt cierpliwi, tak, iż młody zapaleniec częstokroć drży i klnie wśród czytania dziejów ludzkości, widząc, jak tłumy milionowe przez całe wieki wyzyskiwać się dały. A tłum ten jest podobno dzieckiem powolném, które ułagodzić można lada cackiem, najdrobniejszą uśpić pieczętą, utulić choćby cieniem serdeczności. Pierwiastki zachowawcze nigdzie nie mają takich korzeni, jak właśnie w prostym ludzie. Rzeczą tych, których los na wywyższonych postawił miejscach, aby podawali uboższemu bratu dłoń ciepłą, ku sobie go dźwigając. Wówczas nie byłoby ani rewolucyi, ani nienawiści, — tylko chrystusowe już tu na ziemi królestwo.

Szkoda! — Inaczéj się dzieje w świecie rzeczywistym, jak w głowie i sercu poety...

Dla ubogiego nie miał Rozwadowski grosza — zawsze pieniędzy nie było — ale na karnawale rzucał złota całe garści, a w Paryżu budował dla aktorek i śpiewaczek kosztowne wille. Na to być musiało, bo jakby inaczéj?...

Był podobien do zmiętéj po balu jednym bielizny.

— Mój hrabio, — rzekł — przybywam do ciebie w interesie całego stanu, do którego i ty należysz.

— Służę! — odparł Artur.

— Robisz nam wszystkim tylko wstyd. Zamiast żyć z nami i bawić się, siedzisz w pałacu twoim, a jeśli wyjdiesz, to chyba do chłopów.

— Staram się nikomu nie zawadzać — odparł Artur.

— Winienes coś poświęcić urodzeniu swemu.

— Życie moje ma być wysługą dla Opatrzności właśnie za to urodzenie.

— Nie rozumiém.

— Czynię dobrze, pracuję, chcę podnieść dobrobyt mych poddanych, pragnę ich oświecić i zbliżyć do siebie.

— Nie rzecz to pana z panów.

— Mówi psalm: „Góry przyjmujcie ludkom pokój i pagórki spuszczajcie im sprawiedliwość;“ nie mówię i ja inaczéj. Z góry niechaj się światło rozchodzi na dół, z pagórków niechaj się woń miłości rozplywa na ciche doliny, kędy pełza ubóstwo z pochyloném czołem. Arystokrata prawdziwy inaczéj sądzić nie może.

— Ja inaczéj myślę.

— Wolno.

— Obrażasz mnie.

— Nie chciałem.

— Będę żądał satysfakcyi.

Artur podniósł się i rozśmiał.

— Dziecinny jesteś, hrabio — rzekł. Nie wiele życie twoje musi być warte, kiedy je nieopatrznie rzucasz precz od siebie. Co do mnie, ważę sobie życie jako środek do spełnienia wyższego posłannictwa. Zbrzydło ci życie? Pokłóć się z jakim awanturnikiem, a nie nachódź ludzi pracy.



— Infamis! — mruknął Rozwadowski.

— Gdybyś nie był gościem moim, kazałbym cię za bramę wyrzucić, mości hrabio, ale nie nadużywaj praw gościnności. Idź a pracuj, czynź dobrze, a po roku ofiary wrócisz do mnie i błagać będziesz, abym zapomniał nikczemnej obelgi, którą mnie zraniłeś. Odejdź!

Hrabia wyszedł. Artur odwrócił się do okna i czoło wsparłszy na szybach rozplakał się w duszy smutkiem nad małością ludzi.

O tak! mali są ludzie, bardzo mali!...

Nagle olśniła oczy błędzące Artura krwawa luna, gdzieś z za jeziora bijąca.

Stary Wojciech wpadł do pracowni i zawołał:

— Młyn parowy się pali, jaśnie panie!

— Konia dla mnie, — rozkazał Artur — sikawki wszystkie w pomoc.

Arab biały wichru pędem unosił Artura do pożaru, który już zdala trzaskał, buchał, sypiąc jasne iskry półkolem niknące w powietrzu. Sikawki bieleckie dudniły, — gwałt, wrzawa, trzask.

— Gore, gore! — rozlegało się złowrogo — gore, gore! — jęczały dzwony na kościółku bieleckim — ogień! wołał spieszący mimo wieśniak.

O kilka set kroków od palących się domostw mechanika koń Artura targnął się, wspiął nagle, i na bok skoczył.

Pod samotną w polu gruszą stał Kaczmarkowski z rozpiętym na piersi tużurkiem, bez czapki, bez płaszcza. Oko utopił w czerwonych płomieniach, które chciwie całą kolonią pożerały, a wiatr nocny rozrzucił na trupio-bładem czole jego włos bujny. Patrzył i patrzył, a z zajęciem pewno, bo ani posłyszał tętentu nadbiegającego konia.

Prawda! Śliczny to widok był, malowniczy!..

Artur spojrział na twarz mechanika, — drgnął, — bo na téj twarzy bladój, na ustach, szatańskim skrzywionych uśmiechem, stała zbrodnia bezczelném szyderstwem wypisana, stało „podpalacz.“

— Pal się, pal się! — szeptał mechanik.

Palilo się.

Los sam przyszedł w pomoc zbrodniarzowi, bo w tój chwili zawył wiatr wściekły, i spiąwszy się, jak rumak spłoszony, z jękiem i świstem do pożaru pobiegł, roznosząc daleko czerwone iskry, które padały na ubogie domki wieśniacze.

Nie było rady; — chwilę jeszcze, a spłonęła cała kolonia.

Dochodził z niój krzyk uszkodzonych ludzi, kobiet płacz głośny, mężczyzn przekleństwa. Gore! Gore! Gore!...

Kaczmarkowski odwrócił się teraz i nie drgnął nawet, spostrzegszy hrabiego, tylko spokojnie z tą zuchwałą otwartością wszelkiej beczelnej zbrodni rzekł:

— Wracaj do domu, jaśnie panie hrabio; mroźno dziś i wiatr przenikliwy, więc mógłbyś nabyć kataru. Ocalić i tak nic nie możesz, gdyż ogień dobrze podłożyłem.

Artur zsiadł z konia, głowę wsparł na siodle i smutno patrzył na kolonię, która już dogorywała.

— Żeś podpalił, panie mechaniku, — rzekł Artur — nie potrzebnie mówiłeś; wyczytałem to z twarzy twojej, na której stoi zbrodnia jak furja z rozwieszonym włosom, ze sinemi usty, z krwawemi oczyma.

— Nie zbrodnia to żadna; — odparł Kaczmarkowski — spekulacya tylko, czyli rozum.

— Domyśliłem się i tego — mówił Artur. Zapłaci ci towarzystwo zabezpieczeń podwójną wartość.

Cóż cię obchodzi, że przytém ludzi kilku życie stracić mogło, a co najmniej dobytek cały? Zaiste genialny sposób zarobku, jeden z tych, których Polska nie znała dotąd, a pewno pozna z łaski waszój, panowie przemysłowcy i cywilizatorzy.

— Zgadłeś, hrabio! — rzekł Kaczmarkowski. Masz środek w ręku, którym mnie zniszczyć możesz. Zniszcz!

— Zuchwały! Urągasz, bo wiesz, że hrabia Uchański zanadto się przejął tradycją swego rodu, aby mógł być politycyantem, lub donosicielem. Znasz mnie dobrze, więc szydzisz.

— Hrabio! Przestań, bo mógłbym się zapomnieć — krzyknął mechanik, błysnąwszy rewolwerem, który trzymał w ręku.

— Strzelaj — przemówił Artur spokojnie. Twoja kula, panie, nie drażnie mnie, tym mniej zabije, ręka podniesiona upadnie, oko mgłą zajdzie i chybisz.

— Powiedz mi, hrabio, przyczynę, — rzekł mechanik — która tobie siłę daje i taką pewność siebie, która ciebie demoniczną otacza atmosferą, abyś upokarzał i najdumniejszych. Hrabio, hrabio, o rozum mnie przyprowadzasz! Zawsze wielki jesteś, a ja tylko podły, choć i moje oko bystre, mój rozum jasny. O! O!

— Rzecz prosta! Mnie Bóg posłał, abym ocierał łzy sierót, jęk nędzy łagodził, a ja wierzę w tę misję. Ogrzój serce twoje miłością, tęczę promienną rozwiń nad tymi, którym życie gorzką jest rzeczą, a spokojny będziesz, jak ja. Wróć się, wróć się, bo straszną jest droga, którą idziesz! Powiedz-że mi, człowieku, co ciebie zbrodniarzem uczyniło?

— Straciłem na spekulacjach mienie całe, — rzekł mechanik — byłem bankrutem.

— Czemu nie przyszedłeś do mnie? Był bym ci serce otworzył i kieszeń.

— Odejdź już, hrabio, bo zabijasz mnie tą wyższością.

Artur dosiadł konia i galopem pobiegł do pożaru.

Waliły się już kozły, rozpadały ostatnie muru ułamki, dachówki unosiły się w powietrzu, jak jaskółki, pędzone wiatru skrzydłem.

Lud stał w niemój rozpacz, — poczerniały, krwią zbroczony, z opalonymi włosy. Dla niego były ubogie łachmany majątkiem całym, więc rzucał się za nimi w ogień z pogardą życia.

Kiedy Artur stanął wśród tego ludu, rozległ się okrzyk weselszy, bo postać hrabiego każda znała dziecięcina, każdą bowiem obdarzyła już dobrą czynną bieleckiego pana ręką.

W tém od gościńca wrzask zbliżył się wielki. Tłum wieśniaków ciągnął żydka małego, którego strach pobieliał, a ręce tłuszczy pijanej szaty na nim podarły, włos z brody ciągnąc wśród śmiechu i oklasków.

— W ogień, w ogień, zdrajcę, — wołano — w ogień, Judasza; on podłożył, on dobytek nasz zniszczył, zdrajca



zdrajca, co Pana Jezusa sprzedał. W ogień! — krzyknęła tłuszcza cała.

— Już dźwignęło ramion kilka, już...

— Stójcie — zawołał Artur piorunym głosem — stójcie bezrozumni!

Ramiona złamały się w połowie, krzyk ustał, śmiech zamilkł, bo znali wszyscy głos bieleckiego pana.

Wieśniacy stanęli bez słowa, z przestraczem na oszalałych twarzach.

Artur powiódł okiem po gromadzie omieniałej, i spostrzegł wśród niej głowę mechanika, którą szatański uśmiech skrzywił do niepoznania.

— I to twoje dzieło! — pomyślał.

— Tegoż was uczy ksiądz na ambonie, — zawołał głośno — kiedy mówi, abyście bliźnich miłowali? tegoż was uczy?

— Ale to żyd, jaśnie panie, to żyd — odparł tłum niechętnie.

— To człowiek i niewinny, — rzekł Artur — puścić go.

Wieśniacy puścili żyda, który podniósł się, obejrzał i strzały lotem na pole wybiegł, przeprowadzony wzrokiem chłopstwa, ścigany zaciśnionymi dłońmi.

— To żyd! — mruzczała niechętna gromada.

— Pogorzelnicy wszyscy niech jutro do mnie przyjdą! — rzekł Artur, i spiąwszy konia ostrogami drogą do Białej pogonił.

Na niebie stał księżyc srebrny, gwiazdek nie wiele mru-gało, tu i owdzie czarny płat chmury po wysokiem płynął sklepieniu, a na ziemi jęczał wiatr wściekły, drzewa przydrożne schylając, sowy płosząc i inne ptaki nocne, które bezradne schronienia szukały, rozbijając skrzydła o gałęzie i mury.

Artur koniowi cugle puścił, ręce na piersi złożył i w niebo patrzył, smutne niebo.

Szlachetne zwierzę przeczuło troskę pana; zwolniło kroku, posuwając się lekko.

— Więj wietrze, — mówił Artur — więj uraganie i myśl moją zanieś na krańce widomego świata, gdzie nic nie

ma, tylko nieskończoność i spokój wieczny. Zanieś mnie, zanieś! Tu czarno, brudno, zbrodnia wszędzie, głupstwa więcej jeszcze. Światła, Boże, światła daj więcej, ojczyźnie mojej daj, bo duszno w Polsce, ciemno, chłodno!...

Jechał wolno i w myślach zatopiony nie spostrzegł się nawet, jak przed bramą stanął dziedzińca.

Obejrzał się!

Do stodoły, do szczytu przyparł ktoś drabinę; Artur dojrzał ją.

W tej chwili schodził właśnie po szczeblach wieśniak, obciążony miechem, pod którym stękał.

— Złodziej — szepnął Artur — wszyscy przy ogniu pomyślał, więc pora.

— Stój! — zawołał głośno.

Złodziej, krzyknął na drabinie, zachwiał i stoczył się na ziemię z głuchym jękiem.

— Litości, litości... już... nie będę — bełkotał schwytny.

— Jak się nazywasz? — zapytał Artur.

— Kaczmarek, Kaczmarek, jaśnie panie!

— Weź miech, któryś ukradł i zgłoś się jutro do rządzcy; da on tobie drugi, a przedemną nie stawaj, dopóty się nie poprawisz.

Artur znikł już na dziedzińcu, a złodziej leżał jeszcze na ziemi i za hrabią patrzył i bełkotał:

— Litości... Kaczmarek, jaśnie panie!

Artur w pokoju swoim, w pracowni na kanapkę padł turecką, oczy ręką zasłonił, oddychając ciężko.

Dzień dzisiejszy wziął mu kilka lat życia, do serca wlał goryczy wiele, oko łązga zaćmił na długo.

Światła, światła! — szepnął czasem — i przetrwał do rana.

. . . . .

W kilka dni potém wybrał się Artur do Uchania, aby się rzędzcy o córkę oświadczyć. Sądził bowiem, że przekonał dotychczasowém postępowaniem upartego szlachcica o czyistości swoich zamiarów.

Kiedy rządzca odmówił, uśmiechnął się hrabia i szepnąwszy:

— Jeszcze nie czas!

wrócił do Białej.

A pan rządzca za boki się chwytał z radości wielkiej.

— A widzicie, — rozповідаł każdemu, co go posłuchać zechciał — żem demokratą najczystszej wody. Odmówiłem hrabiemu córki mojej.

Przecież nie mogło być inaczej. Toć niejedna córka, i syn niejeden padają ofiarą próżności swych rodziców, którym się zdaje, że mają prawo rozporządzać szczęściem dzieci wedle własnego widzimisię. Za rozkosz demokratyczną ojca pokutowała Wanda, a rządzca ani przeczuwał, że tę dziecinną uciechę swoją przyplaci bardzo drogo.

Sprowadził Wandę od krewnych, bo sądził, że niebezpieczeństwo minęło. Zdziwił się pocziwiec, kiedy ujrzał córkę bladą, schorzałą i kaszlącą.

— Zwyczajnie nie dawali jój krewniacy dostatecznie jeść — mruknął, innój dolegliwości prócz żołądka nie rozumiejąc.

I znów szły dni i tygodnie i miesiące, aż nadeszła wilia 1863go roku.

Już od roku chodziły w Polsce dziwne wieści, jeździli dziwniejsi ludzie z tajemnicami na twarzy i w kieszeniach.

Tam w Warszawie gotowało się coś, tam dojrzewał jakiś wrzód, który miał niebawem pęknąć i rozlać jad swój po całym kraju.

Powstanie było w powietrzu, wszędzie, a choć każdy wiedział o zbliżającej się burzy, nikt nie śmiał odezwać się głośniej, a nawet myśl przytłumiano.

Nie naszą rzeczą wchodzić w przyczyny powstania i pytać się, czy było rozsądne, albolii zawczesne? Dość powiedzieć, że nadszedł rok 1863...



Straszny rok, krwawy rok..

W uchańskim dworku zebrało się w wilią nowego roku liczne towarzystwo.

Z dalekich okolic zjechali się obywatele, aby się porozumieć co do stanowiska, jakie zająć wypada w razie wybuchu.

Radzono długo, radzono wiele, aż pogodzić się nie mogąc rozjechali się panowie. Każdy przecież chciał mieć słuszość, jak to zwykle w Polsce bywało. Oficerem, kapitanem, generałem być tylko, a szeregowcem nigdy. Stara piosnka!

O tym samym czasie zajechał przed dwór bielecki wózek jednokonny, a z wózka wysiadł człowiek, otulony płaszczem, jakby poznanym być nie chciał.

Wszedł do pracowni Artura — płaszcz odrzucił — i stanął, czekając słowa gospodarza.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — rzekł Artur z kanapki, na której siedząc czytał — zkąd się pan zjawia, panie Dutkowski.

— Z Warszawy, hrabio! — odparł Dutkowski i usiadł obok Artura. — Naprzód przeprosić pana chciałem za nieprzyzwoite moje wyrazy w znanój utarczce, a potem miałem do hrabiego interes.

— Dziwna zmiana! — mówił Artur, przypatrując się ciekawie posmutniałym rysom Dutkowskiego twarzy.

— Prawda, że dziwna. Nie uwierzysz, skoro powiem, że mnie pański policzek uzdrowił, a jednak nie zmyślam. Za policzek ten wdzięczny jestem panu; spadł na mnie niespodziany i przebudził człowieka pracy, który zwyczajem wieku chorować zaczął na lamparta. Ty, hrabio, wybac mi, jeżeli cię obraziła rubaszość panka. Zdala śledziłem życie twoje, zdala przypatrywałem się tobie, i uczułem potrzebę zbliżenia się do człowieka, który własny żywot puszcza mimo, aby innych uszczęśliwić. Otóż jestem.

Twarz Artura rozjaśniła się weselem. W milczeniu podał Dutkowskiemu dłoń przyjazną.

— Słuchaj hrabio! — mówił Dutkowski dalej. Chciałem wrócić do kraju i pomódz ci w pracy cichój, a wpływowej, abyśmy zbudowali fundament, na którym dzieci na-

sze mogłyby wystawić wspaniałą gmach swobody, aż oto płoszą mnie wieści warszawskie. Tam knują coś w Warszawie, tam wrze miasto całe i już ściskają pięści do jawnego buntu. Nie chcę przesądzać, ale czuję, że przyjdzie do rozlewu krwi.

Artur pochylił głowę i palcami bębniąc w stół zapatrzył się w blask lampy kryształowej.

Po chwili rzekł:

— To i smutno! Za ojców winy późne wnuki pokutować muszą, a ilekroć ręce związane podniosą się do pracy mrówczej, ale pewnej, przyjdzie uragan i z trudem stawianą budowę rozwieje. Powstanie? Czemże powstanie narodu, który nie jest narodem, bo w niewielkiej tylko części obywatel się czuje. Całe miliony, a właśnie te tłumy, które broń dźwigać winny, leżą jeszcze w politycznym letargu, nie rozumiejąc obowiązków obywatela. Dla nas powstanie jakiegokolwiek może być tylko wielkim nieszczęściem.

— I ja tak sędzę — odparł gość — a przecież...

— A przecież, chcesz powiedzieć, poszedbyś z narodem? Pewno.

— Cóż robić wypada?

— Chwilowo czekać! Jeżeli się w Warszawie coś gotuje, my tego nie wstrzymamy. Jakaś opatrność prowadzi ludów dłonie, i czasem pchnie je do nierozważnych czynów, aby naród przejrzał nareszcie. Ja wierzę, że nas powstanie zbrojne cofnie w rozwoju o lat trzydzieści w tył, a jednak skoro ujrzę szal niewstrzymany, sam się w wir ten rzucę, sam pójdę w taniec śmiertelny. Tak rozumiem służbę obywatela. Może potrzeba jeszcze krwi do oczyszczenia grzechów dawnych, może uez mało... Któż tam wie?

W sposób podobny mówili późno w noc.

W kilka tygodni później przyniosły jęki poległych pierwszą wieść o powstaniu.

Artur siedział w Białej pracując, jak dotąd, i czekał, bo wierzył, że wybuch przytłumią, że przedymi rychło ten szal, który uniósł cały naród.

Ale szal nie przeminął.

Skończyła się zima, nadeszła wiosna, a tam za kordonem buchał coraz wyżej płomień powstania, coraz głośniej płakały jęki i modły mordowanych rodzin.

Kilkakrotnie ofiarowano hrabiemu tajne urzędy, ale nie przyjął dotąd żadnego. Już po cichu zdrajcą go nazywano, „białym.“

Powstanie rozszerzało się z każdym tygodniem więcej, wzywając za sobą i najobojętniejszych.

Artur zrozumiał teraz, że to walka na śmierć i pojął, że nie wolno Polakowi odsuwać się od reszty narodu. Jakoż w Lipcu zamknął się dnia pewnego w pracowni i noc całą coś pisał.

Pisał — testament.

On przeczuł, że się kończy pieśń jego życia, więc gotował się na śmierć spokojnie i bez żalu.

Na drugi dzień wieczorem pojechał do Uchania.

Właśnie stał rządzca przed dworkiem i odprawiał zwykły przegląd inwentarza.

— Mam do pana prośbę, — rzekł przybyły — spieszną prośbę.

— Służę — odparł zdziwiony dzierzawca.

— Słuchaj pan — rzekł Artur, kiedy weszli do pokoju.

— Słucham — mruknął pan rządzca.

— Tajny związek warszawski mianował mnie urzędnikiem swęj organizacyi, a ja przyjąwszy nominacyą, biore zarazem na siebie obowiązek pracy. Praca ta będzie wyczerpywała dni całe, dla czego trudno by mi było zarządzać majątkiem. I otóż proźba. Chciałem pana prosić, abyś przyjął znów nadzór nad kluczem bieleckim, co panu po długoletnim rządzie nie może być trudno. Sądzę, że, cobyś odmówił hrabiemu, nie odmówisz Polakowi, który życie swoje niesie na ołtarz ojczyzny.

Pan rządzca siedział smutny na krześle — myślał a myślał — potem westchnął, a oko jego szare lżą zaszło. Co się stało? Pan rządzca był Polakiem, a hrabia do niego po polsku teraz mówił, tym językiem, który między nami do każdego serca trafia.



— Panie hrabio, — rzekł gospodarz — panie hrabio, teraz dopiero widzę, że uprzedzony byłem do pana, zem ciężko zgrzeszył, obrażając człowieka, który tak bardzo ojczyznę swoją kocha i choć młody, zrobił już tyle dobrego. Ale — bo ja, panie hrabio — ja — taki stary osieł.

— Dobrze, już dobrze — odparł Artur. Służ pan ojczyźnie, ile ci sił starczy, a i ja służyć będę, a jeżeli wyjdziem z téj walki zdrowi, co wątpię, wówczas przyjdę raz jeszcze, by cię prosić, o co już prosiłem. Dziś nie ma czasu patrzeć w ciemne, łzawe oczy, dziś nie wolno pieścić się miękkim żony włosem, bo nas twarda czeka praca. Bywaj zdrów tymczasem — do widzenia!

Artur znikł już na skrócie drogi, prowadzącej do Białej, a pan rządzca stał jeszcze w progu i patrzył a szeptał:

— Przepraszam, przepraszam! Toć człowiek zacny, pan prawdziwy a tak dobry, a tak miły i wszystko niesie matce — Polsce, a ja ślepiec niepoprawny, ranilem go tyle razy. Tfu! Słuchałem babskich bredni, a teraz masz-ci bigos. Pójdzie i zginie za Polskę, i nie przeproszę go nawet, a moja Wanda co dzień bledsza, smutniejsza żabinka.

Artur wracał tymczasem do Białej, aż za wsią na drodze stanął krzyżowój i zamyślił się.

— Choćby raz jeszcze zobaczyć Wandę, — szepnął — raz jeszcze i pożegnać na zawsze.

Zawrócił konia i wolno, stępą do wsi wracał, rów przeskoczył, przedzielający zagajenie od wiejskich zagonów. W zagajeniu konia przywiązał do drzewa, sam kładnąc się na miękkie trawy pośłanie.

Między sercami dwoma idzie wiecznie czynny telegraf — przecucie, miłości każdej powierną gołębicą.

Artur rzucił się na trawnik, przekonany, że go tu Wanda znajdzie, więc czekał spokojnie.

Już wieczór cichy z dalekich spieszył niebios, już spoczynek spływał na ziemię.

Artur okiem w błękitach utonął niebieskich. Był spokojny, swobodny, tęskny jakiś, bo w duszy jego jasno znów było i przestronno, jak tam wysoko w niezmaconych żadną chmureczką lazurach.

Zmrużył powieki i marzył.

W chwilach takich przestaje dusza pracować; w głowie i sercu robi się cicho i wonno. Gdyby wówczas anioł śmierci znużone powieki na zawsze przymknął, człowiek by nie uczuł, że krew' przestała w żyłach pulsować. Czuję wówczas, że spokój po życia burzach i zawodach dobroczyńcą się staje, a śmierć spokojem przecież, czyli snem.

Artur leżał cicho, jak w grobie. A grób ten był cudownie piękny! Miękką trawą i wonnym kwiatem wysłany, sklepieniem niebios przykryty. I zdawało się Arturowi, że w mogile spoczywa; tak lekko i swobodnie podnosiła się pierś zbrojna.

Dzwonek wieczorny wołał na bieleckim kościołku, za dzwonkiem modlić się zaczął wieśniak spotniały.

Nagle jaśniej błysnęło na niebie.

Artur oczy otworzył.

Tam daleko na widnokręgu rząd topoli czerniał, — bielecka to była alea, — na wierzchołkach drzew zawisła kula ognista, unosząc się i upadając.

Słońce zachodziło!

Szerokiém półkolem rozlała się na zachodzie łuna krwawa; znikły chmurki białe, rysujące się gdzieś wysoko — płomień wszędzie, smugi krwawe.

Słońce spuszczało się szybko. Już przez szczeliny tylko przezierając gałęzi, drgało, jak w śmierci objęciach — raz jeszcze zapłonęło i zaszło. Krwawa łuna zlewała się, uchodząc z nieba, w barwę dziwnie piękną, pomarańczową. Białe chmurki wyrzwały znów z ozłoceniemi rąbki, jak aniołów płaszczyki — w końcu i te znikły i już ciemno... cicho... Kulig samotny wołał żałośnie, biegając przegoną ugorzyska, kuropatwa kwiliła gdzieś w zagajeniu, prosząc się do stada, a świerszcz polny zaczął monotony koncert — i już był wieczór.

I znów patrzył na ziemię błękit jednakowy, bledszy tylko, więcej płowy — i uśmiechnął się do Artura spokojem...

Teraz...

Krok lekki zbliżał się po trawniku, a szelest tego kroku uderzył serce Artura, bo mu powiedział głos tajemny, że to Wanda nadchodziła.

Szła wolno z opuszczoną na pierś głową, z białą różą w czarnych włosach, aż zbliżywszy się do miejsca, na którym Artur leżał, zatrzymała się, krzyknawszy lekko.

Artur zmrużył oczy i czekał.

Wanda schyliła się nad kochankiem i ust dwoje dotknęło się, zwarło pocałunkiem płomiennym.

— Wando moja — szepnął Artur.

— Kochanku mój . . .

I znów pocałunek cichy . . . długi . . .

Artur podniósł się połową ciała, jedną ręką głowę podparł, drugą pieścił warkocz kochanki i chwil tak kilka w twarz jej zapatrzony milczał.

— Wando moja, — zaczął — trzeba nam się rozstać na długo.

— Wiem o tém — odparła Wanda.

— Wiész? A zkąd, droga moja?

— Ty pójdiesz na wojnę; ja wiem, bo nie możesz inaczej.

— Pójdę. Oświadczyłem się ojcu twojemu; nie przyjął mnie. Może i lepiej, bo kto wie, czybym w objęciach twoich nie zniewieściał, nie osłabł? — A Polska potrzebuje dziś serc niepodzielnych, ramion niesplecionych włosiem ukochanej żony.

— Mylisz się Arturze. — Polką jestem, jak ty Polakiem.

— Prawda, moja droga, ale i kobietą jesteś. Może się więc lepiej stało, powtarzam, jednak ty zachowaj mi serce, aż wrócę . . .

— Nie wrócisz Arturze — odparła Wanda.

— Nie wrócę? Zkąd tobie myśl taka?

— Przeczucie mi powiedziało, a ja wierzę.

— Niestety i ja . . .

Milczeli oboje.

Artur w błękitne patrzył niebo, Wanda zwiesiła głowę na piersi jego, płacząc po cichu.



— Nie płacz, droga moja, — rzekł Artur — nie płacz, bo mi smutno, o, tak smutno, a wesołym przecież być winienem, niosąc na ołtarz ojczyzny siebie i wszystko moje . . .

— I mnie — szepnęła Wanda.

— Nie mów tak, droga moja, nie mów.

— Ty zginiesz, a ja za tobą pójdę.

— Nie mów tak, droga moja.

— Arturze, ty jeden chciałbyś wielkim być zawsze. — Nic-że nie zostawisz Wandzie twojej? Ja Polką jestem, więc daję cię ojczyźnie, bez łzy daję, Arturze, tak, bez żalu, ale przeżyć, nie przeżyję cię długo. Wszakże życie bez ciębie niczem jest dla mnie! Duch twój powinien umrzeć po raz drugi, gdyby się ciała mego ktoś inny dotknął. — Prawda?

— Prawda, kochanko duszy mojej.

— Jestem twoją już od chwili, kiedy Bóg nazwisko moje w księgę przeznaczeń zapisał, z tobą żyć i umierać mi trzeba, bo jestem żoną twoją, przed sobą i przed ojcem nas wszystkich.

— Dobra ty moja, droga, kochana — rzekł Artur, przyciskając płomienniejącą twarz kochanki do własnej piersi gorącej. — Gdyby mi Opatrzność pozwoliła żyć później z tobą, zapłaciłby mi rok jeden całe lata cierpień. Czekaj na mnie, czekaj.

— Będę czekała, a ty idź i walcz za kraj mój i twój. Podnieśli się oboje z trawnika.

— Bywaj mi zdrowa — rzekł Artur.

Wanda ujęła głowę Artura w obie dłonie i zaczęła całować czoło wyniosłe, a łzy płynęły obficie z ócz jej ciemnych znany pewno śladem, — bo szybko, nie zatrzymując się.

— Pamiętaj o mnie, pomyśl czasem, choć sekundę jedną, a tam w niebie — słyszysz — bo przyjdę do ciebie i będą duchy nasze szczęśliwe.

— Bywaj mi zdrów.

— Chwilkę jeszcze przy mnie zostań.

Artur złożył czoło na łonie Wandy, a ona pieściła kędziory włosów jego, całowała twarz bladą, słowa miłości szepcać rozkoszne, upajające.

Była już północ.

— Bywaj mi zdrowa.

— Bywaj mi zdrowy.

I raz jeszcze splotły się ręce, usta spoily się raz jeszcze, potem tętent słyhać było uchodzącego konia, a pod drzewem na kamieniu płacz urwany, konwulsyjny.

Wanda klęcząc z rękoma na sercu, modliła się gorąco do Ojca świata, do ducha opiekuńczego Polski, ażeby śmierć lekką dali Arturowi — śmierć spokojną.

Przeczwała prawdziwie. Ostatni raz się widzieli.

.....

Pan rządca już w tydzień później przeniósł się do dworku bieleckiego, który przez cały ten czas stał próżny, jak gdyby czekał na dawnych mieszkańców. Krew' Polaka odezwała się w żyłach gospodarza, krew' pragnąca ofiary za kraj, za ojczyznę miłą, i zapomniał pan rządca czynnemu patryocie wszystko, czego nie wybaczył hrabiemu. Co więcj! Teraz dopiero zaczęło znikać uprzedzenie, a choć wziął się gorliwie do gospodarstwa, zastępując Artura, posmutniał czegoś i pobił niezmiernie.

Szał powstańczy ogarniał tymczasem całą Polskę.

Myśl wspólna, pragnienie jedno zatarły w chwili pierwszej wszystkie odcienia polityczne, kazały zapomnieć uraz osobistych, i był Polak tylko, a nie było arystokraty i demokraty itd.

Wspaniały widok! Szkoda, że tak krótki! . . .

W pałacu bieleckim gwaro teraz było i hałaśno.

Dniem i nocą zajeżdżały bryczki, powozy, karety, a hrabia przyjmował wszystkich z uśmiechem równym, czy dryndulką przyjechał, czy karetą. Okolica zapomniała drobiazgowych zazdrości, idąc za zmysłem zdrowym, który w bieleckim panu od razu przewodnika uznał.

Nieszczęście uleczyło głupstw wiele!

Teraz, kiedy było potrzeba w okolicy głowy jasnej, wo-  
li silnej a sprężystej, jednogłośnie obywatelstwo sąsiednie w  
Arturze uznało przewodnika, więc skupili się wszyscy pod  
skrzydła hrabiego.

Trwało tak kilka tygodni, aż dnia jednego nie zastano  
Artura w pałacu. Znikł, przepadł bez wieści.

Mówiono w okolicy, że rząd narodowy hrabiego po-  
wołał do Warszawy, aby mu powierzyć wpływowe stano-  
wisko w samym Królestwie. Żałowano po cichu młodego  
dziedzica, wiedząc, że się nie usunie od żadnej pracy, że  
się nie ulęknie żadnego przedsięwzięcia, choćby najśmielsze  
było. . . .

Złapią, pochwyca, powieszają, — szeptano sobie.

W bieleckim dworku kanapka i krzesła na dawnym  
tały miejscu, nawet Wandy fortepian i biurko do książek  
wróciły do znanego pokoiku; wszystko jak dawniej, ludzi  
tylko zmienili się dziwnie.

Pan rządca pochylił się, włosów stracił wiele, oczyma  
bez basku na pole patrzył, a kiedy mówił, nie krzyczał już,  
nie przeklinał. Lat 50 pracy nie zniszczyło olbrzyma; pół-  
roku troski, choroby moralnej, złamało harde drzewo, pło-  
sząc szeroki uśmiech z pocziwój twarzy.

Miał serce ciepłe ten człowiek; odezwało się ono te-  
raz głośno, ale jękiem. Z Polski coraz smutniejsze docho-  
dziły wieści, coraz krwawsze były boje, i już w półroku po  
wybuchu nie łudził się nikt. Musiało się skończyć nową  
klęską.

Pan rządca czytał teraz gazety, a każdą razą blejszy  
od stolika wstawał i smutniejszy.

A Kaczmarkowski? On równocześnie z Arturem opu-  
ścił strony bieleckie, do Włoch jechał celem ratowania ży-  
cia i zdrowia.

Kiedy za kordonem powstanie wybuchło, mechanik  
uśmiechnął się szydyczko.

— Ha! szaleńcy! — mawiał. — Małozli pokutowali?  
Czyż dotąd nie przejrzeni, że tylko cicha, nirówcza praca może  
jim wrócić byt niezależny?



Jako człowiek praktyczny usunął się oczywiście od szaleńców, do pracy się nie mieszał, a kiedy w końcu i stryżki nadchodziły w pudełkach, wyjechał za granicę.

Rzemieślnicy odbudowywali tymczasem za grosz wzięty z towarzystwa zabezpieczeń fabryki jego i młyny.

Już kończyło się powstanie, już wracały rozbitki z ostatniej epopeji narodowej, ostatniego pewno „żywego“ poematu do strzech opuszczonych.

Wrócił i Kaczmarkowski, a kiedy ujrzał fabryki swoje nowe, pomyślał znów o . . . Wandzie.

Ten człowiek rozkochał się na prawdę w dziewczynie pięknej a cichój. I nie dziw! Duch dumny znieść nie mógł poniżenia i rozmiłował się przez opozycję.

Niezwłocznie po swoim powrocie do kraju udał się do Białej. Hrabiego dawno powiesili — pomyślał. Zginął obiekt miłości, więc wrócił praktyczny rozum.

Tak myślał Kaczmarkowski, przepuszczający wszystko przez alembik własnego rozumowania.

Zastał Wandę samą w pokoju. Ach! Jaka zmiana! Z pięknej, z zdrowej dziewczyny zrobiło się coś przejrzystego, poświęconego. Uosobiona boleść, ucieleśniona łza!

Kaczmarkowskiego, ciałem zdrowego, porywały właśnie takie piękności przezrocze.

— Dzieje się to prawem wzajemnego dopełniania się, mawiał cynik.

Grzecznie, jak zawsze i jak każdego przyjęła go Wanda, tylko usta blade drgnęły, a twarz chora zbieliła się więcej jeszcze. Natury szlachetne czują wstręt tajny do wszystkiego, co nocą pełza lub ślizga się niewidnemi manowcami.

Po zwykłych frazesach wstępnych oświadczył się Kaczmarkowski po raz drugi.

Wówczas krew' uderzyła do skroni dziewczyny, pierś drgnęła konwulsyjnie.

— Ha! . . . — zawołała, — że ktoś tak nad wyraz wszelki podłym być może o tém nie miałam pojęcia. Kiedy inni walczą, ty, panie mechaniku, za granicę jeździsz, aby

się wycofać z obowiązków Polaka; nasek pieścisz wonią gajów cytrynowych, zamiast oddychać dymem prochu.

— Panno Wando, to nadto — rzekł Kaczmarkowski.

— Czekaj, zaraz kończę. Wracasz potem, kiedy naród drga w konaniu, aby sięgnąć po obcą własność, której właściciela znasz przecie, sądząc, że zginął znieawidzony rywal. Włosy splatać i rozplatać zachciało się tobie, ludu synowi, a wnuk wojewodów poszedł ginąć za ojczyznę. Podły jesteś i nikczemny, a przytém głupi, bo nie wiesz, że Polka tylko Polaka kochać może.

— Szlachcianka! — syknął mechanik. — Zemszczę się i tak — dołał głośno.

— Nie zemścisz się; — odparła Wanda słabnącym głosem — na twarz patrz moję, na policzki. Widzisz plamy czerwone? Śmierć niedaleka... patrz, niedaleka... i dobrze tak, bo — Polka nie powinna przeżyć ojczyzny swojej ponownego konania i śmierci kochanka. Nie powinna....

Zakaszlała sucho — pierś sfalowała się słabo, z ust krople krwi sączyły...

— Widzisz, panie mechaniku, nie zemścisz się, bo sam Bóg nademną się zlitował — szepnęła, osuwając się na kanapkę.

— Szkoda, — mruknął mechanik — byłaś pani śliczną dziewczyną.

— Tak, szkoda — powtórzyła Wanda.

— Ojciec mój, ojciec — prosiła dalej — uwolnij mnie od widoku tego człowieka, o, uwolnij mnie!

Pan rządcza wszedł właśnie na te słowa.

— Wynoś się, panie Kaczmarkowski — zawołał.

— Panie Skrzętski! — mruknął mechanik wystraszony.

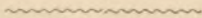
Pan rządcza pochwycił mechanika za barki, i uniósłszy go silnym ramieniem, za drzwi wypchnął.

— Pójdź z oczu moich, podły intrygancie! — krzyknął za upadającym na kamienie dziedzica.

— Ot — cierpienie dało ojcu i jasnowidzenie.

Ukląkł stary ojciec przed córką, drobne jęj nóżki całował i płakał, płakał rzewnie.

— Zabiłem cię, rozbiłem pierś młodą głupstwem, śmiesznym uprzedzeniem. Jeżeli prędniej spotkasz Artura na drugim świecie, proś go odemnie o przebaczenie, a on mi zapomni, bo świętym był człowiekiem. O tak! . . .



Z Polski z za kordonu dochodziły już tylko jęki pojedyncze i ciche.

Skończyła się nowa tragedia polskiego ludu.

Równocześnie kończył się ostatni akt tragedji rodzinnej w bieleckim dworku.

Było to w jesieni roku 1864.

W saloniku siedział pan rządzca po obiedzie przy kawie; obok na kanapie leżała Wanda z chusteczką białą na ustach, a przez chustkę sączyła krew' spiekła.

— Dziecko moje, nie lepiej tobie? — zapytał.

— Lepiej ojcie, bo ostatnia chwila już blizka.

— Nie mów tak, o nie mów, miej litość.

Zastukał ktoś do drzwi w tej chwili.

Wszedł obdarty, zakurzony człowiek w burce powstańczej.

Powstańców takich włóczyło się wówczas mnóstwo od dworu do dworu, a zawsze obdarci byli, zakurzeni, jakoby właśnie z bitwy wracali, dla czego często złodziei pod dach przyjmowano.

Z powstańcem zaczął pan rządzca rozmowę, jak zwykle o oddziałkach ostatnich, aż zwolna, stopniowo przybysz mowę skierował na okolicę, w końcu na hrabiego, który dotąd jeszcze nie wrócił.

Wanda ocknęła się na imię Artura.

— Pan znałeś hrabiego? — zapytała powstańca.



— Znałem — odparł obdartus. Służyliśmy razem w jednym obozie, w którym hrabia był lekarzem wojskowym, ja zaś oficerem. Był to zdolny człowiek, więc szkoda, że skończył nikczemnie. Hrabia był zawsze dumny, jak wszyscy polscy panowie, dla tego to narzucał się wszystkim, chciał przeszkodzić, — ot i wicherzył, więc go własni powiesili ludzie.

— Kłamiesz! — zawołała Wanda.

Powstaniec przeląkł się roziskrzonego dziewczęcia wzroku, na drzwi spojrzął, ale między nim a drzwiami siedział pan rządca, który zbladły i drżący pięści ścisnął.

— Mówię prawdę, — bełkotał powstaniec — świętą prawdę, bo znałem hrabiego i sam nawet byłem przy egzekucyi.

— Kłamiesz, kłamiesz! — mówiła Wanda słabym głosem — kłamiesz nikczemny, ale ten co cię przekupił, abyś zakrwawił serce moje, dobił mnie, dobił, dobił. Śmierci, śmierci . . . o przyjdź śmierci i weź mnie z tego świata, gdzie tak podli, tak bardzo podli są ludzie.

Przyszła śmierć i wzięła . . .

Wanda osunęła się bezsilna na kanapę, główkę zwiesiła na poręcz, główkę śliczną, rękę przyłożyła do serca, a serce już bić przestało. Krew' lała się z ust różowych po białej muślinowej sukience, w kroplach gęstych na posadzkę sącząc. Śmierć blada rzuciła całun na twarz dziewczyny, oczy rozwarły się raz jeszcze, — szklisto, bez blasku, usta rozchyliły się . . .

— Do widzenia, ojcze, — szepnęły te usta i już po wszystkim.

— Ratunku, ratunku! — krzyknął ojciec stary — ludzie, matka, śliczna żabinka moja, ratunku! — i z rykiem nieludzkiej boleści na córkę się rzucił.

Już po wszystkim!

W trzy dni później stał w saloniku pana rządcy katafalk całunem pokryty, a na katafalku leżała Wanda w białej sukni, z czarną przez biodra przepaską, z myrtowym wiankiem w rozwieszonych włosach.

Był wieczór.

Sześć świec paliło się koło katafalku, u nóg trumny klęczała baba kościelna, odmawiając pacierze, zegar dygotał jednostajnie, a w kącie na kanapce łkała matka. Przed dworem ludu zebrało się mnóstwo, i rzewnie płakano po dobrej panience, która leż wiele w krótkim osuszyła życiu, pociechy słowa niosąc ubóstwu. Czekano na księdza, który miał za chwilę wrócić ziemię ziemi, proch prochowi.

Wszedł ojciec i przy trumnie stanął, na uspioną spojrzął dziewczynę, a nie płakał, nie drgnął nawet, bo już leż nie miał. Był starcem pan rządca; biędny ojciec.

Już i ksiądz nadszedł, ciało pokropił, liturgią przepisane homilie odśpiewywać zaczął; chwilę, a zamknie się wieko nad trupem.

Wtém rozległ się na dziedzińcu tętent nadbiegających galopem koni i równocześnie krzyknął lud zgromadzony: „hrabia, ojciec nasz!“

Był to hrabia rzeczywiście.

Szybkim krokiem wszedł do saloniku, z podniesioném czołem, i blady, jak zawsze, smutny więcej, — ale dumny jeszcze.

Oslupieli wszyscy, bo hrabiego dawno już powiesiła wieść rozbiegająca się po okolicy, choć nie wiadano, za czyją przyczyną?

Artur schylił się nad trumną, usta umarłej pocałował, „nie czekałaś za mną“ — rzekł, potem do orszaku zwrócił się pogrzebowego i przemówił:

— Żyję jeszcze, jak widzicie, nie pochwycili mnie dotąd cara siepacze. A ty ojcze — zwrócił się do rządzcy — uściśnij dłoń moję przy trupie tobie i mnie drogięj dziewczyny, uściśnij!

— Przebaczyłeś mi, Arturze? — zapytał rządca.

— Nie miałem nigdy żalu do ciebie, — odparł Artur, bo znam serca ludzkie i wiem, że głupstwo silniejsze częstokroć od cnoty; byleś uprzedzony do mnie, jak wielu tobie podobnych do nazwiska się uprzedza, nie wiedząc, że ono przypadkowe tylko.

Rządca uściśnął hrabiego, całując jego czoło blade.

Wiek zamknięto nad trumną Wandy, świece pogasły, płacz rozległ się nieklamany i śpiew łkających wieśniaczek, i poszedł konwój pogrzebowy do Uchańskich grobu, gdzie obok cór i synów starego rodu stanęła ostatnia żona po duchu ostatniego potomka.

Tłum się rozbiegł — płacz zamilkł w oddali, przy grobie został tylko Artur, i głowę o drzwi sklepienia wsparszy, łzie samotnej płynąć pozwolił.

Płyn, płyn łzo, ty wielkiego nie hańbisz człowieka, ty uświęcasz ból męża, rozpacz łamiącego się serca ulagodzisz. Płyn, płyn, płyn!..

Na niebie, nad grobami, rozdarła się chmura jesienna i srebrny księżyc spojrział z uśmiechem z dalekiego zamczyńska i posłał tajemnicze cienie na mogiły uspionych.

Powiew wieczorny pieścił posmutniałe drzewa, a w powiewie mówił smutek niebieski do ziemi:

— Co robisz z dziećmi twemi, ziemio? dla czegoż tym zawsze, którzy zasłużyli na szczęście twoje, serce łamiesz? Co robisz z dziećmi twemi, ziemio?..

Artur odczepił twarz od grobowca i krokiem wolnym do wsi wrócił.

. . . . .

W trzy dni później jechało dwóch ludzi, zawinionych w burki powstańcze, — bieleckim gościńcem do rosyjskiej granicy.

Konie szły stępą, a jeźdźcy milczeli.

Był to Artur i Dutkowski. Obaj wracali do obozu, którego resztki czekały na wodza w lesie uchańskim.

— Skończyło się wszystko! — zaczął Artur pierwszy.

— Skończyło — odparł Dutkowski.

I znów jechali, milcząc.

Słońce jesienne już zachodziło, kiedy powstańcy na granicy stanęli. Na niebie skupiały się chmury gęste i czarne, od zachodu ciągnąc, a wiatr poświstywał z północnej strony, zaczynając uwerturę do wielkiej opery, której tytuł „burza“.

— Stańmy tu chwilę, rzekł Artur na granicy.



W obsłonach nadchodzącego wieczoru śnił dwór bielecki, a jezioro płonęło, zakrwawione promieniami zachodzącego słońca.

Artur spojrział na kołyskę swoją.

— Co tobie? — rzekł Dutkowski.

— Żegnam się z cichym domkiem moim, — odparł Artur — żegnam się z uśmiechnionymi strzechami ubogiego ludu, bo czuję, że dzień ostatni szybko nadchodzi.

— Nie mów tak, naczelniku.

— To głos Boga, który we mnie mówi. Każda idea pożera wiele ofiar, a czystych i najdroższych. Ja umrę, a trup mój podniesie o stopień jeden drabinę, po której modły narodu polskiego dojdą do Ojca wszechświata. Wiem o tém. Słuchaj mnie, przyjacielu! Robię cię wykonawcą testamentu, który leży w biurku mojej pracowni. Kiedy mnie już nie będzie, pójdź i strzeż woli ostatniej przyjaciela i pilnuj, aby się spełniło życzenie zmarłego. Rodziny nie mam; sierotą jestem na tym bożym świecie, a po Wandy śmierci nie została mi nawet nadzieja potomstwa, więc klucz galicyjski zapisałem ubóstwu, bielecki tobie, a uchański carowi, bo go i tak weźmie.

Nie przerywaj, mówił Artur dalej, nie przerywaj, i przyjm zapis jako pamiątkę po zmarłym przyjacielu, ale z zapisem przejmij myśl jego i tej myśli daj widome kształty, czyli mówiąc wyraźniej, kończ to, com zaczął.

Głos Artura słabł — oko błękitne poszło w dal szarą — usta uśmiechnęły się znów smutnie, — niewymownie smutnie.

Ani Artur, ani Dutkowski nie spostrzegli, że już od chwili ktoś trzeci, szeroką zasłoniony topolą, ruchy ich chciwie śledził.

Artur spojrział raz jeszcze na dwór bielecki, na niewyraźny cień jego, bo wieczór śpieszny rzucił już na cichą ziemię płaszcz czarny; już na niebie chmury ołowiane zlały się w jedną, już wicher wyć zaczął, drzewa trząść się, jakby fe-browym miotane dreszczem.

— Idź ty do obozu, — rzekł po chwili — ja zatrzymam się jeszcze w Uchaniu do jutra. Czuję, żebym dziś nie dojechał, tyle znużony jestem i słaby wypadkami dni ostatnich.

— Jak rozkażesz, zrobię, naczelniku, — odparł Dutkowski — zważ jednak, że Uchań łatwo najść mogą kozacy, bo się tu często włóczą.

— Przenocuję gdzie w chacie wiejskiej u kolonisty niemieckiego, gdzie mnie pewno szukać nie będą. Ty jedź i czekaj mnie jutro. Bywaj mi zdrowy!

Chwilkę jeszcze stał Artur na granicy, potem Dutkowskiemu, który już znikł za wiejskimi strzechami, pocałowanie od ust posłał, potem spiął konia ostrogami i popędził ku Uchaniowi.

Z za topoli wysunęła się teraz postać trzecia. Rękę podniosła w stronę, z której dochodził tętet galopującego araba.

— Jedź, hrabio! — mruknął Kaczmarkowski — jedź na ostatni spoczynek, bo godzina zemsty mojej wybiła teraz; dość już, dość. Upokorzyłeś mnie udaną wyższością swoją, zabiłeś mi kochankę, — pokrzyżowałeś wszystkie plany . . . dość już . . .

Kaczmarkowski znikł w ciemnościach nadchodzącej nocy, jak upiór z błyszczącymi ślęciami.

Artur zastukał tymczasem do drzwi ubogiej lepianki jednego ze swoich poddanych, — o gościnne prosząc przyjęcie.

Rzucił się na barłóg, przykrył burką powstańczą i zasnął. Spał spokojnie, oddychając wolno, swobodnie, jak dziecię na matki łonie.

Minęła godzina, kiedy do lepianki ktoś drugi zapukał, ale cicho, ostrożnie. Kolonista wyszedł i było słychać szept z przedsionka, naprzód głośniejszy, potem cicho ktoś mówił, potem złoto zadzwoniło, i znów szept.

Dwóch jeźdźców oddalało się minut kilka później od lepianki; jednym z nich był mechanik, drugim kolonista,

który podążał do blizkiego miasteczka, gdzie stała rota kozaków.

Minęła godzina jedna, druga i trzecia.

Na kościółku bieleckim uderzyła właśnie północ, kiedy gościńcem uchańskim oddział kozaków się zbliżał, a szybko, jak nieszczęście.

— Tu! — rzekł kolonista do prowadzącego konwój oficera.

— Może go już nie ma — mruknął oficer niechętnie. Spojrzyj-no, szwabie, przez okno do wnętrza.

— Jest, jest, — odparł kolonista z radością.

— Trzech wejdzie; nie strzelać, gdyby się bronili! — rozkazał oficer.

Trzech weszło, zapalili łuczywo, którego blask czerwony oświecił izbę i twarz Artura oblał światłem krwawém. Artur spał jeszcze, śnił coś właśnie, kiedy kozacy weszli; głęboko odetchnął, a z ust szept senny wypłynął: „ja wam wszystkim przebaczam, wszystkim.“

— Oficer był młody jeszcze. W progu stanął i na Artura spojrzął, a twarz Słowianina pobladła, a usta złożyły się do smutnego uśmiechu.

— Ot, szwabie, — rzekł oficer do kolonisty — chodź tu i patrz, coś zrobił? To graf Uchański, Niemcze, to batuszka wasz, — który dla was żył tylko, — dla was, nędzarzy.

Niemiec przeląkł się. Oficer chwycił go za kołnierz, silną dłonią o ziemię rzucił, mówiąc:

— Smotry padlec, coś zdziałał? Długoż wy jeszcze stać będziecie między nami, brata zbrojąc przeciw bratu? Podły! . . . .

Artur przebudził się.

Oko jego padło na żołnierzy i nie przelękło się; wstał z barłogu; — uśmiechnął się.

— Rychło przychodzicie, — rzekł głosem spokojnym — myślałem, że dacie mi jeszcze dni kilka.



Oficer dwa palce przyłożył do kepi i wyprostował się jak przed generałem i milczał.

— To pojedziem pewno? — mówił Artur.

— Tak, pojedziem, — rzekł oficer — bo nie sam jestem. Musiałeś właśnie, hrabio, wejść do chaty tego szwaba. Ot i szkoda! Car każe, my robim, car „na kolana“ woła, my na kolana; ot i szkoda, hrabio:

Wsiedli kozacy na konie, Artura w środek biorąc i ku miastu popędzili.

Burza grać zaczęła już na dobre, wichur się podniósł, ryknął, błyskawice jasne darły niebo w szmaty; grzmot bliższy i dalszy powietrzem wstrząsał, aż drgało powietrze i ziemia drgała, i niebo płonęło blaskiem piekieł odwiecznych.

Strasznie, strasznie!

Niemiec stał w progu swój lepianki, złoto za zdradę wzięte z ręki przesuwać do ręki, licząc, ilekroć jaśniej błysnęło. Liczył a liczył, przesuwał . . . a pioruny biły, ale nie uderzyły w lepiankę, nie zapaliły mieszkania, w którym przed chwilą nędzarz zabił pana — ojca. . . .

Nie uderzyły, nie zapaliły!

I tak zawsze prawie. . .

W miesiąc później rychło jeszcze było w miasteczku, a już mały i wielki, stary i młody — wszystko przed więzieniem stało, czekając na kogoś. Zbliżyli się wieśniacy z daleka, tłocząc się z rykiem i płaczem przed odwach wojskowy, który, czy nie chciał, czy nie mógł, dość że nie odpychał ludu, pozwalając mu zaglądać przez szpary na dziedziniec więzienny.

Była siódma rano.

Bramy więzienne otworzyły się i wyszły przez nie pojedyncze oddziały żołnierstwa, dalej wózek jednokonny, a na wózku Artur, a dalej reszta wojska. Tłum zebrany podniósł się na palcach, spojrzął — ryknął płaczem piersi tysiąca; — konwój wolno się przedzierał, idąc za miasto.

Tu na wolnym polu stał słup wkopany, a pod słupem dół świeży, a nad dołem mogiłka żółtego piasku.

Artur przy słupie stanął z ręką na sercu, z okiem zwróconém w niebo, z którego patrzyły promienie wschodzącego słońca jesiennego; kolumny wojska zamknęły się.

— Narodzie mój, bądź święty zawsze, — zawołał Artur od słupa głosem silnym — wszystkich kochaj i tych, co w łachmanach chodzą, i tych, co na purpurowém spoczywają wezglowiu, byleby serce w jednej i drugiej biło piersi. Narodzie mój, bądź szczęśliwy!

— „Pli!“ — zawołał oficer komenderujący.

Dwanaście brzękło karabinów, dwanaście padło strzałów, a wszystkie celne; — kolumny wojska rozstąpiły się, lud ryknął... okropnie... strasznie... i już koniec.

Artur przy słupie głowę schylił na lewe ramię, rękę podniósł raz jeszcze do błogosławieństwa, potem ciało osunęło się — i nie żył.

. . . . .

Wśród tłumu klęczał siwy starzec na mokrej ziemi, i włosy rwał, płacząc tym płaczem starości, który ulgi już nie daje, tym płaczem rozpaczy stojącego na mogile człowieka, dla którego nadzieja nawet nadzieją być przestała, — bo po za sobą nic nie widzi, a przed sobą mogiłę tylko.

Był to pan rządca.

Obok niego klęczał Dutkowski, podtrzymujący starca, który się tarzał po ziemi jak szalony.

Dutkowski był blady, ale żywy nie było w jego oku, a w ustach wyraz goryczy tylko i siły.

— Spełnię twój testament, Arturze — rzekł.

Dutkowskiego uszlachetniła przyjaźń Artura.

Był jeszcze ktoś trzeci w tłumie.

Stał mechanik, plecami oparty o płot jakiegoś ogrodu i patrzył na słup, przygryzając paznogie.

— Widzisz, hrabio! — szepnął. — Mocniejszy byłem od ciebie, co najmniej, więcej praktyczny, bo długo jeszcze będę używał, a ty poszedłeś na przysmaczek robaków. —

A jednak, jednak i w śmierci upokorzył mnie ten człowiek,  
bo umarł po męczeńsku. — Tfu! Niechże więc za nim  
i w śmierci krainy nienawiść moja pójdzie, — niechże pój-  
dzie!

I już koniec.

Pisałem w Grudziądzu zimą 1875.













WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

l.19914

Biblioteka WSP Kielce



0155260